Literacka Nagroda Goncourtów

# Éric Vuillard

# Porządek dnia

Nazistowskie Niemcy mają swoją legendę. Postrzegamy je przez pryzmat nowoczesnej i szybkiej armii, która wydawała się niezwyciężona. A co, jeśli za kulisami ich pierwszych decyzji i poczynań kryły się raczej nieczyste, ordynarne interesy?

# Éric Vuillard

# Porządek dnia

Z języka francuskiego
przełożyła
Katarzyna Marczewska

WYDAWNICTWO LITERACKIE

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Tajne posiedzenie

Maski

Kurtuazyjna wizyta

Zastraszanie

Spotkanie w Berghofie

Sztuka niepodejmowania decyzji

Rozpaczliwa próba

Dzień przy telefonie

Pożegnalny obiad przy Downing Street

*Blitzkrieg*

Czołgi tkwiące w korku

Podsłuchane rozmowy

Rekwizytornia

*The Sound of Music*

Umarli

Kim są ci wszyscy ludzie?

Tytuł oryginału: *L'ordre du jour*

Opieka redakcyjna: ANDRZEJ STAŃCZYK
Redakcja: KRZYSZTOF LISOWSKI
Korekta: ANNA RUDNICKA, KRYSTYNA ZALESKA
Projekt okładki i stron tytułowych: ROBERT KLEEMANN
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ

© Actes Sud, 2017
Published by arrangement with Lester Literary Agency & Associates
© Copyright for the Polish translation by Katarzyna Marczewska
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07755-9

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

*Laurentowi Évrardowi*

## TAJNE POSIEDZENIE

Słońce jest mroźną gwiazdą, ma serce z lodowych igieł. Świeci bezlitosnym blaskiem. W lutym drzewa są martwe, rzeka skamieniała, jakby źródło przestało wypluwać wodę, a morze nie chciało jej już połykać. Czas znieruchomiał. Rano panuje zupełna cisza, żadnego odgłosu, żaden ptak nie śpiewa. Potem automobil, za nim drugi, i nagle kroki, niewidoczne sylwetki. Inspicjent zastukał trzy razy, lecz kurtyna się nie podniosła.

Jest poniedziałek, za zasłoną mgły miasto zaczyna się ruszać. Ludzie jak co dzień wychodzą do pracy, wsiadają do tramwajów, autobusów, wspinają się na górną platformę i drzemią na zimnie. 20 lutego tamtego roku nie był jednak zwyczajnym dniem. A przecież większość ludzi od rana pilnie się trudziła, pogrążona w przykładnym kłamstwie wytężonej pracy, wykonując wszystkie te drobne gesty, w których wyraża się milcząca, uznana prawda, a epopeja naszego istnienia przybiera postać gorliwej pantomimy. Tak oto spokojnie i normalnie upłynął cały dzień. A kiedy tak wszyscy krążyli między domem a fabryką, między placem targowym a podwórzem, na którym rozwiesza się pranie, wieczorem zaś wędrowali z biura do baru i wreszcie wracali na spoczynek, w tym samym czasie z dala od przyzwoitej pracy, z dala od rodzinnych pieleszy wytworni panowie wysiadali z samochodów stających przed pałacem na brzegu Sprewy. Zgięci w ukłonie szoferzy otwierali drzwiczki, a oni wynurzali się z wielkich czarnych limuzyn i jeden za drugim wkraczali między potężne kolumny z piaskowca.

Było ich dwudziestu czterech, obok bezlistnych drzew na nabrzeżu dwadzieścia cztery czarne, ciemnobrązowe lub jasnobrązowe płaszcze, dwadzieścia cztery pary wywatowanych ramion, dwadzieścia cztery żakiety, kamizelki i tyleż par spodni z zakładkami i szerokimi nogawkami. Cienie wsunęły się do wielkiego westybulu pałacu przewodniczącego parlamentu; niedługo jednak nie będzie już parlamentu, nie będzie

przewodniczącego, a za kilka lat nie będzie nawet samego gmachu parlamentu, pozostaną tylko dymiące zgliszcza.

Na razie dwadzieścia cztery filcowe kapelusze odrywają się od głów i odsłaniają dwadzieścia cztery łyse lub okolone wianuszkiem siwych włosów czaszki. Przed wejściem na scenę dłonie wymieniają uroczyste uściski. Czcigodni patrycjusze stoją w wielkim westybulu, wypowiadają zdawkowe słowa, wyrazy uszanowania; można by odnieść wrażenie, że to trochę sztywny wstęp do garden party.

Dwadzieścia cztery postacie sumiennie przebyły pierwszą partię stopni, następnie pokonały kolejne, wspinając się schodek po schodku i zatrzymując od czasu do czasu, by nie sforsować zbytnio starych serc; ściskając kurczowo dłonią mosiężną poręcz, pięły się z półprzymkniętymi oczyma, nie podziwiając ani wytwornej balustrady, ani sklepień, jakby się wdrapywały na stos niewidzialnych zeschłych liści. Poprowadzono je przez wąskie drzwiczki na prawo, tam zaś, przeszedłszy kilka kroków po ułożonej w szachownicę posadzce, dotarły po trzydziestu stopniach na drugie piętro. Nie wiem, kto prowadził pochód, i w gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia, ponieważ każdy z dwudziestu czterech musiał zrobić dokładnie to samo, przejść tę samą trasę, skręcić w prawo, obejść klatkę schodową; wreszcie z lewej strony ujrzeli stojące otworem wielkie podwójne drzwi i weszli do salonu.

Powiadają, że literatura pozwala na wszystko. Mógłbym więc kazać im krążyć w nieskończoność po schodach Penrose'a, nie zdołaliby już nigdy ani wejść na górę, ani zejść na dół, robiliby wciąż jedno i drugie naraz. W pewnym sensie książki rzeczywiście tak na nas oddziałują. Czas słów – zwarty lub płynny, gładki i nieprzenikalny lub zmierzwiony, gęsty, rozciągnięty, ziarnisty – petryfikuje ruchy, paraliżuje. Nasi bohaterowie pozostają w pałacu na zawsze, jak w zaklętym zamku. Ledwo weszli, stają niczym rażeni piorunem, kamienieją, zamieniają się w lód. Drzwi są zarazem otwarte i zamknięte, skrzydła okien zniszczone, wyrwane, strzaskane – i świeżo odmalowane. Klatka schodowa błyszcząca, lecz pusta, żyrandol migoczący, lecz martwy. Jesteśmy jednocześnie we wszystkich momentach czasu. Oto więc Albert Vögler doszedł po schodach do pierwszego podestu, tam zaś, zgrzany, a nawet ociekający potem, sięgnął dłonią do sztywnego kołnierzyka, czując lekki zawrót głowy. Pod

wielkim pozłacanym lampionem oświetlającym schody obciągnął kamizelkę, rozpiął guzik, rozluźnił kołnierzyk. Być może również i Gustav Krupp zatrzymał się na podeście i rzucił Albertowi słowa pocieszenia, bon mot na temat starości, krótko mówiąc, okazał solidarność. Następnie Gustav ruszył w dalszą drogę, a Albert pozostał przez chwilę sam pod żyrandolem, wielką pozłacaną rośliną z umieszczoną w środku olbrzymią kulą światła.

Wreszcie wkroczyli do saloniku. Osobisty sekretarz Carla von Siemensa, Wolf-Dietrich, zamarudził chwilę przy balkonowym oknie, błądząc wzrokiem po cienkiej warstewce szronu pokrywającej balustradę. Na moment wymknął się ze świata ciemnych interesów i snuje się pośród białego puchu. A kiedy pozostali gawędzą, ćmiąc cygara Montecristo, paplają o ich kremowej lub szarej powłoce, ten optuje za smakiem łagodnym, ów za korzennym, a wszyscy za najgrubszymi, niczym kość z baraniego udźca, i miętoszą od niechcenia złocone banderole, on, Wolf-Dietrich, marzy przy oknie, kołysze się pośród nagich konarów i unosi się na falach Sprewy.

Parę kroków od niego Wilhelm von Opel podziwia misterne, zdobiące sufit gipsowe figurki, unosząc i opuszczając grube okrągłe szkła. Podobnie jak inni, jest potomkiem rodziny, która wspinała się przez długie stulecia, począwszy od zamożnego gospodarza z parafii Braubach, poprzez kolejne awanse, szaty i szamerunki, togi i rózgi, folwarczki i urzędy, wydając najpierw rajców miejskich, potem burmistrzów, do chwili, kiedy Adam – wydobywszy się z głębin matczynego łona, a następnie przyswoiwszy sobie wszelkie tajniki sztuki ślusarskiej – wykoncypował cudowną maszynę do szycia, będącą prawdziwym początkiem świetności. Nie był przy tym wcale jej wynalazcą. Zatrudnił się u wytwórcy, pilnie przypatrywał się mechanizmowi, wysilił trochę mózg i wprowadził parę ulepszeń. Poślubił Sophie Scheller, która wniosła mu w posagu okrągłą sumkę, i swojej pierwszej maszynie nadał imię żony. Produkcja wzrosła jeszcze bardziej i wystarczyło kilka lat, by maszyna do szycia weszła do powszechnego użytku, dogoniła krzywą czasu i wrosła w ludzkie obyczaje. Jej prawdziwi wynalazcy pojawili się za wcześnie. Kiedy maszyny do szycia miały już zapewniony zbyt, Adam zaangażował się w welocypedy. Pewnej nocy jednak przez półprzymknięte drzwi przedostał się dziwny głos; Adam

poczuł w sercu lodowaty chłód. Nie byli to wynalazcy maszyny do szycia domagający się wynagrodzenia za prawa autorskie, ani też robotnicy żądający swojej części zysków – to Bóg upominał się o jego duszę. Trzeba ją było oddać.

Jednakże przedsiębiorstwa nie umierają tak jak ludzie. Są to ciała mistyczne, które nigdy nie giną. Pod marką Opel nadal sprzedawano rowery, a następnie automobile. Firma, która w chwili śmierci założyciela miała już tysiąc pięciuset pracowników, nadal się rozrastała. Przedsiębiorstwa to osoby, których cała krew powraca do głowy. Są to tak zwane osoby prawne. Ich życie trwa o wiele dłużej niż nasze. 20 lutego zatem, kiedy Wilhelm oddaje się rozmyślaniom w niewielkim saloniku w pałacu przewodniczącego Reichstagu, spółka Opel jest już leciwą damą. Dziś to tylko jedno z imperiów wewnątrz innego imperium i jej związek z maszynami do szycia starego Adama jest bardzo odległy. I chociaż spółka Opel to bardzo bogata staruszka, jest jednak tak stara, że się jej prawie nie dostrzega, należy do krajobrazu. Po prostu spółka Opel jest obecnie znacznie starsza niż wiele państw, starsza od Libanu, starsza od samych Niemiec, od większości państw afrykańskich, starsza niż Bhutan, którego bogowie kryją się w chmurach.

# Maski

Moglibyśmy w ten sam sposób podejść kolejno do każdego z dwudziestu czterech panów, którzy wchodzą do pałacu, musnąć wyłogi kołnierzyka, węzeł krawata, oddać się przez chwilę podskubywaniu wąsów, pomarzyć pomiędzy tygrysimi paskami marynarek, zatonąć w smutnych oczach, tam zaś, na samym dnie żółtego, kłującego kwiatu arniki, napotkalibyśmy te same drzwiczki; pociągnęlibyśmy za sznur dzwonka, by znów cofnąć się w czasie, i zostalibyśmy uraczeni tym samym pasmem usilnych zabiegów, korzystnych ożenków, podejrzanych transakcji – monotonną relacją o ich dokonaniach.

Mamy jednak 20 lutego i Wilhelm *von* Opel, syn Adama, już dawno wyczyścił smar spod paznokci, schował rower, zapomniał o maszynie do szycia i nosi przed nazwiskiem przyimek, w którym się streszcza saga jego rodu. Z wyżyn swoich sześćdziesięciu dwóch lat spogląda na zegarek i pokasłuje. Zacisnąwszy usta, obrzuca wzrokiem całe towarzystwo. Hjalmar Schacht wykonał dobrą robotę – niedługo zostanie mianowany dyrektorem Reichsbanku i ministrem gospodarki. Wokół stołu zebrali się Gustav Krupp, Albert Vögler, Günther Quandt, Friedrich Flick, Ernst Tengelmann, Fritz Springorum, August Rosterg, Ernst Brandi, Karl Büren, Günther Heubel, Georg von Schnitzler, Hugo Stinnes Jr, Eduard Schulte, Ludwig von Winterfeld, Wolf-Dietrich von Witzleben, Wolfgang Reuter, August Diehn, Erich Fickler, Hans von Löwenstein zu Löwenstein, Ludwig Grauert, Kurt Schmitt, August von Finck i doktor Stein. Jesteśmy w panteonie przemysłu i finansjery. Teraz stoją grzecznie, cichutko, już trochę spotulniali po dwudziestominutowym czekaniu; dym z grubych cygar szczypie ich w oczy.

Kilka cieni w niemej zadumie podchodzi do lustra i poprawia węzeł krawata – w saloniku pozwalają sobie na swobodę. Palladio w jednej ze swoich czterech ksiąg na temat architektury określa dość ogólnie salon jako pomieszczenie do przyjmowania gości i scenę, na której rozgrywają

się wodewile naszego istnienia, a w słynnej willi Godi Malinverni przez salę Olimpu, gdzie nadzy bogowie oddają się miłosnym igraszkom wśród czegoś, co przypomina ruiny, i salę Wenus, do której przez namalowane drzwi wślizguje się paź z dzieckiem na ręku, dochodzimy do położonego w środku salonu; nad drzwiami umieszczono w kartuszu zakończenie modlitwy: „I zbaw nas ode złego". Ale w pałacu przewodniczącego Parlamentu, w którym odbywa się nasze skromne spotkanie, na próżno szukalibyśmy takiej inskrypcji: porządek dnia jej nie przewidywał.

Pod wysokim sufitem upłynęło powoli kilka minut. Nastąpiła wymiana uśmiechów. Otwarto skórzane teczki. Schacht unosił od czasu do czasu okulary w cienkiej oprawie i pocierał nasadę nosa, wysuwając lekko czubek języka. Goście siedzieli grzecznie, wpatrując się w drzwi krabimi oczkami. W przerwach między kichnięciami słychać było szepty. W ciszy rozlegało się trąbienie w rozłożoną chustkę do nosa, potem plecy prostowały się w cierpliwym oczekiwaniu na rozpoczęcie zebrania. Na czym jak na czym, ale na zebraniach dobrze się znali, każdy był członkiem licznych rad dyrektorów i rad nadzorczych, każdy należał do jakiejś organizacji pracodawców. Nie mówiąc już o ponurych spotkaniach familijnych, wpisanych w ten surowy, nudny patriarchat.

W pierwszym rzędzie Gustav Krupp ociera rękawiczką krwistoczerwoną twarz, nabożnie smarka w fular, jest zaziębiony. W miarę upływu czasu jego cienkie wargi zaczynają się wyginać w paskudny odwrócony półksiężyc. Wygląda na smutnego i niespokojnego; machinalnie obraca palcami piękny złoty pierścień, pogrążając się w mglistych marzeniach i rachubach – i możliwe, że te dwa słowa znaczą dla niego jedno i to samo, jakby dążyły powoli ku sobie, wzajemnie się przyciągając.

Nagle skrzypią drzwi, trzeszczy posadzka – w przedpokoju toczy się rozmowa. Dwadzieścia cztery jaszczurki wspinają się na tylnych łapkach i stają na baczność. Hjalmar Schacht przełyka ślinę, Gustav poprawia monokl. Zza podwójnych drzwi słychać przytłumione głosy, potem syknięcie. Wreszcie do pokoju wchodzi z uśmiechem przewodniczący Reichstagu – jest nim Hermann Göring. W gruncie rzeczy nie powinniśmy wcale być zaskoczeni, jest to przecież dość powszednie, rutynowe

wydarzenie. W świecie interesów walki partyjne niewiele znaczą. Politycy i przemysłowcy mają zwyczaj regularnie się widywać.

Göring przywitał się zatem z przybyłymi, wypowiadając do każdego kilka słów, fundując każdemu dobroduszny uścisk dłoni. Przewodniczący Reichstagu pojawił się jednak nie tylko po to, by wystąpić w roli gospodarza; wymamrotał powitalny frazes i z miejsca przypomniał o nadchodzących wyborach, mających się odbyć 5 marca. Dwadzieścia cztery sfinksy słuchają uważnie. Najbliższa kampania wyborcza przesądzi o wszystkim – oznajmia przewodniczący Reichstagu. Trzeba położyć kres niestabilności państwa; działalność gospodarcza wymaga spokoju i stanowczości. Dwudziestu czterech panów kiwa nabożnie głowami. Elektryczne świece w żyrandolu mrugają, wielkie słońce wymalowane na suficie świeci mocniej niż przed chwilą. A jeśli partia nazistowska zdobędzie większość – mówi Göring – będą to ostatnie wybory w ciągu najbliższych dziesięciu lat; a nawet stu – dodaje ze śmiechem.

Przez wszystkie rzędy przebiegł pomruk aprobaty. W tej samej chwili dał się słyszeć odgłos otwieranych drzwi i do salonu wszedł wreszcie nowy kanclerz. Ci, którzy go jeszcze nie poznali, przyglądali mu się z ciekawością. Hitler był uśmiechnięty, rozluźniony, wcale nie taki, jak go sobie wyobrażali, uprzejmy, a nawet serdeczny, o wiele serdeczniejszy, niżby się mogło wydawać. Miał dla każdego kilka słów podziękowania, ciepły uścisk dłoni. Po dokonaniu prezentacji każdy zasiadł na nowo w wygodnym fotelu. Krupp nerwowo skubał przystrzyżone krótko wąsy; tuż za nim, w drugim rzędzie, dwaj członkowie zarządu I.G. Farben, a także von Finck, Quandt i kilku innych z poważnymi minami założyli nogę na nogę. Rozległo się głuche kaszlnięcie, brzęknęła leciutko skuwka wiecznego pióra. Cisza.

Słuchali. Treść wystąpienia sprowadzała się do tego, co następuje: należy skończyć ze słabym państwem, usunąć zagrożenie komunistyczne, zlikwidować związki zawodowe i doprowadzić do tego, by każdy przedsiębiorca mógł być führerem we własnym zakładzie. Przemówienie trwało pół godziny. Kiedy Hitler skończył, Gustav wstał, wysunął się krok do przodu i w imieniu wszystkich obecnych gości podziękował, że wreszcie otrzymali klarowne przedstawienie sytuacji politycznej. Kanclerz zamienił jeszcze przed wyjściem parę słów z każdym z zebranych. Winszowano mu,

prawiono uprzejmości. Starzy przemysłowcy najwyraźniej poczuli ulgę. Zaraz po wyjściu Hitlera głos zabrał Göring, który nieco innymi słowami powtórzył dobitnie kilka myśli, a następnie wspomniał raz jeszcze o wyborach zaplanowanych na 5 marca: to wyjątkowa okazja, by wyjść z impasu, w jakim znalazły się Niemcy. Do przeprowadzenia kampanii potrzebne są jednak pieniądze; otóż partia narodowo-socjalistyczna nie ma już złamanego grosza, a zbliża się czas kampanii wyborczej. W tym momencie Hjalmar Schacht powstał, uśmiechnął się do zgromadzonych i rzucił: „A teraz, panowie, przejdźmy do kasy!".

Zachęta, mimo iż nieco obcesowa, nie była dla nich niczym nowym; łapówki to ich chleb powszedni. W budżecie wielkich przedsiębiorstw korupcja jest żelazną pozycją, nosi rozmaite nazwy – lobbing, prezenty świąteczne, darowizny na rzecz partii politycznych. Większość gości wpłaciła zatem po kilkaset tysięcy marek, Gustav Krupp wyłożył milion, Georg von Schnitzler dał czterysta tysięcy, i zebrano w ten sposób okrągłą sumkę. Spotkanie z 20 lutego 1933 roku, które można by uważać za wyjątkowe wydarzenie w historii wielkiego przemysłu, bezprecedensowe porozumienie z nazistami, było dla takich jak Krupp, Opel czy Siemens niczym innym jak dość zwyczajnym epizodem działalności biznesowej, pospolitą zrzutką. Wszyscy oni przetrwają bezpiecznie okres dyktatury i w przyszłości będą finansowali wiele partii stosownie do ich skuteczności.

Po to jednak, by lepiej zrozumieć, czym było spotkanie z 20 lutego, by uchwycić jego ponadczasowe tło, należy teraz nadać wszystkim tym ludziom ich właściwe imiona. Ci, którzy siedzą późnym popołudniem 20 lutego 1933 roku w pałacu przewodniczącego Reichstagu, to wcale nie Günther Quandt, Wilhelm von Opel, Gustav Krupp, August von Finck; trzeba ich nazywać zupełnie inaczej. Günther Quandt to kryptonim, pod którym kryje się coś całkiem innego niż korpulentny jegomość smolący wąsy dymem z cygara i siedzący grzecznie na swoim miejscu w rzędzie foteli. Tuż za nim bowiem, za jego plecami znajduje się o wiele bardziej imponująca postać, opiekuńczy cień, zimny i nieprzenikniony jak kamienny posąg. Roztaczając całą swoją potęgę, okrutny, anonimowy, wznosi się nad sylwetką Quandta, nadając jego twarzy nieruchomość maski, ale takiej, która przylega ściślej niż jego własna skóra: wytężywszy

wzrok, dostrzeżemy Accumulatoren-Fabrik AG, późniejszą Vartę, dobrze nam znaną, ponieważ osoby prawne mają swoje kolejne wcielenia, podobnie jak starożytni bogowie przybierali rozmaite postaci i z biegiem czasu łączyli się z innymi bóstwami.

Oto prawdziwe imię Quandtów, imię demiurgowe, ponieważ sam Günther nie jest niczym więcej niż maleńką kupką mięsa i kości, tak jak my wszyscy, a po nim na tronie zasiądą jego synowie i synowie jego synów. Tron jednak trwa nadal, gdy maleńka kupka mięsa i kości gnije już w ziemi. Żaden z tych dwudziestu czterech nie nazywa się zatem Schnitzler ani Witzleben, ani Schmitt, ani Finck, ani Rosterg, ani Heubel, jakby na to wskazywały akta stanu cywilnego. Nazywają się BASF, Bayer, Agfa, Opel, I.G. Farben, Siemens, Allianz, Telefunken. Znamy ich pod tymi nazwami – i to nawet bardzo dobrze. Są wszędzie wśród nas, między nami. Są naszymi samochodami, pralkami, środkami czystości, elektronicznymi budzikami, ubezpieczeniami naszych domów, bateriami w naszych zegarkach. Są wszędzie, pod postacią przedmiotów. Są naszą codziennością. Leczą nas, ubierają, oświetlają, wożą po drogach całego świata, kołyszą do snu. A dwudziestu czterech jegomościów obecnych owego 20 lutego w pałacu przewodniczącego Reichstagu to nic innego jak ich mandatariusze, duchowieństwo wielkiego przemysłu: kapłani Ptaha. I zachowują kamienny spokój, niczym dwadzieścia cztery arytmometry u wrót do Piekieł.

## KURTUAZYJNA WIZYTA

Niewytłumaczalna skłonność popchnęła nas, biernych i zalęknionych, w objęcia wroga. Od tamtej pory nasi historycy roztrząsają w swoich dziełach przerażające wydarzenie, w którym najwyraźniej rozum sprzymierzył się z błyskawiczną, brutalną siłą. Kiedy zatem reżim zjednał już sobie najwyższych kapłanów przemysłu i finansjery, a następnie zmusił do milczenia opozycję, jednymi poważnymi przeciwnikami pozostały obce mocarstwa. Ton wobec Anglii i Francji coraz bardziej się zaostrzał, kolejne pokazy siły przeplatały się z zapewnieniami o życzliwości. I oto w listopadzie 1937 roku między dwoma przypływami rozdrażnienia, po paru czysto formalnych wyrazach sprzeciwu z powodu aneksji Zagłębia Saary, remilitaryzacji Nadrenii czy też zbombardowania Guerniki przez Legion Condor, Halifax, przewodniczący Izby Lordów, udał się z prywatną wizytą do Niemiec na zaproszenie Hermanna Göringa, ministra lotnictwa, naczelnego dowódcy Luftwaffe, ministra leśnictwa i wielkiego łowczego Rzeszy, przewodniczącego nieboszczyka Reichstagu, twórcy Gestapo. To całkiem sporo, Halifaxowi wszakże najwyraźniej to nie wadzi; ten liryczny i brutalny, obwieszony orderami facet, zdeklarowany antysemita wcale nie wydaje mu się dziwny. I nie sposób uznać, że Halifax dał się wystrychnąć na dudka komuś, kto nie grał w otwarte karty; że lord nie zauważył dandysowskich ubiorów, niezliczonych tytułów, obłąkańczej, mrocznej retoryki, opasłego kałduna – bynajmniej. Minęło już bardzo wiele czasu od spotkania z 20 lutego, naziści porzucili wszelkie pozory umiarkowania. Potem zaś dwaj panowie razem polowali, razem się śmiali, jedli razem kolację, i Hermann Göring, który nie miał oporów w okazywaniu serdeczności i sympatii, on, który niegdyś marzył, że zostanie aktorem, i został nim na swój sposób, poklepał go pewnie po ramieniu, a nawet trochę sobie zakpił ze staruszka Halifaxa i poczęstował go jakąś dwuznaczną anegdotą, z tych co to wprawiają odbiorcę w zakłopotanie, a nawet zażenowanie, jakby zawierały podtekst erotyczny.

Czyżby wielki łowczy zdołał zamydlić mu oczy? Lord Halifax, podobnie jak dwudziestu czterech kapłanów niemieckiego przemysłu, musiał przecież co nieco wiedzieć na temat Göringa, jego przeszłości, życia jako puczysty, upodobania do wymyślnych mundurów, uzależnienia od morfiny, leczenia w szpitalu psychiatrycznym w Szwecji, druzgocącej diagnozy stwierdzającej brutalność, niezrównoważenie psychiczne, depresję, skłonności samobójcze. Z pewnością nie poprzestawał na legendzie asa myśliwskiego, bohatera pierwszej wojny światowej, handlarza spadochronami, starego wiarusa. Halifax nie był gamoniem ani żółtodziobem i musiał być na tyle dobrze poinformowany, że ten spacer, podczas którego widzimy ich obydwu w krótkim filmie, jak podziwiają zagrodę z żubrami, a Göring, wściekle swobodny, daje lekcję dobrego samopoczucia, nie mógł mu się nie wydać osobliwy. Lord nie mógł nie dostrzec dziwnego pióra przy kapeluszu, futrzanego kołnierza, cudacznego krawata. Być może sam był miłośnikiem polowania, podobnie jak jego sędziwy ojciec, i wobec tego w Schorfheide pewnie mu się podobało, nie mógł jednak nie widzieć dziwnej skórzanej marynarki, którą miał na sobie Hermann Göring, i kordu u pasa, nie mógł nie słyszeć złowieszczych aluzji kryjących się w pieprznych dowcipach. Może widział go, jak strzela z łuku, przebrany w błazeński strój, z pewnością widział oswojone drapieżniki, lwiątko liżące twarz swojego pana. A jeśli nawet nic z tego nie widział, jeśli spędził z Göringiem nie więcej niż kwadrans, z pewnością słyszał o kilometrowej zabawkowej kolejce elektrycznej w piwnicach jego domu i nieuchronnie dochodziła do niego masa najdziwniejszych pogłosek. Stary lis Halifax nie mógł też nie wiedzieć o jego obłąkańczej megalomanii; być może widział, jak Göring puszcza znienacka kierownicę kabrioletu i z całych sił krzyczy na wietrze! Tak, nie mógł się nie domyślić przerażającego jądra tkwiącego pod nalaną, obrzmiałą maską. A potem Halifax spotkał się z Führerem – i znowu niczego nie zobaczył? Na przekór zastrzeżeniom Edena posunął się nawet do tego, by dać do zrozumienia Hitlerowi, że rząd Jego Królewskiej Mości nie uważa niemieckich roszczeń do Austrii i części Czechosłowacji za nieuprawnione, byleby wszystko przebiegało pokojowo i w uzgodnieniu z zainteresowanymi. Halifaxowi nie można zarzucić braku spolegliwości. Cały koloryt tej postaci oddaje jednak najlepiej ostatnia anegdota. W Berchtesgaden, dokąd przywieziono Halifaxa, lord zauważył obok

samochodu jakiegoś osobnika, którego wziął za lokaja. Pomyślał, że mężczyzna wyszedł gościowi na spotkanie, by go poprowadzić po schodach. Kiedy zatem otwarto drzwi samochodu, lord chciał mu podać płaszcz. Natychmiast jednak ktoś, von Neurath albo kto inny, może jakiś służący, szepnął Halifaxowi do ucha zdławionym głosem: „To Führer!". Lord Halifax podniósł wzrok. Był to istotnie Hitler. Lord wziął go za lokaja! Wszystko dlatego, że nie raczył nawet podnieść głowy, jak relacjonuje później w swoim autobiograficznym dziełku *Fullness of Days*: najpierw zobaczył tylko spodnie, a na samym dole parę butów. Lord Halifax ironizuje, chce nas rozbawić. Ja jednak nie uważam tego za śmieszne. Angielski arystokrata, który pręży się dumnie na końcu krótkiego szeregu swoich przodków, głuchych jak pień, głupich jak barany, ograniczonych jak *fields*, zupełnie mnie nie porywa. Czy to nie wielce czcigodny pierwszy wicehrabia Halifaxu, będąc kanclerzem Skarbu, przez cały czas pełnienia swojego urzędu sprzeciwiał się stanowczo udzielaniu Irlandii jakiejkolwiek dodatkowej pomocy? Głód zabił milion ludzi. A czy naprawdę można się chować za wielce czcigodnym drugim wicehrabią, ojcem Halifaxa, w swoim czasie królewskim pokojowcem, kolekcjonerem opowieści o duchach, które jeden z synów opublikował po jego śmierci? Poza tym ta niezręczność nie ma w sobie nic nadzwyczajnego, nie jest to gafa roztargnionego starego piernika, tylko ślepota społeczna, arystokratyczna pogarda. Jeśli natomiast chodzi o poglądy, Halifax nie jest świętoszkiem. Oto, co napisze do Baldwina po spotkaniu Hitlerem: „Nacjonalizm i rasizm to potężne siły, lecz nie uważam ich za wynaturzone ani niemoralne!"; a nieco później: „Nie wątpię, że te osoby naprawdę nienawidzą komunistów. I zapewniam pana, że gdybyśmy byli na ich miejscu, doznawalibyśmy tych samych uczuć". Takie były przesłanki tego, co do dziś nazywamy p o l i t y k ą u s t ę p s t w.

## Zastraszanie

Jesteśmy zatem na etapie kurtuazyjnych wizyt. Wszelako 5 listopada, zaledwie dwanaście dni przed tym, jak lord Halifax przyjechał rozmawiać z Niemcami na temat pokoju, Hitler przedstawił dowódcom swoich wojsk plan zajęcia siłą części Europy. Na pierwszy ogień miały pójść Austria i Czechosłowacja. W Niemczech było bowiem za ciasno, a ponieważ nikt nigdy nie zdoła zaspokoić w pełni swoich pragnień i ciągle spoglądamy ku zamglonym horyzontom, a ponadto przy zaburzeniach paranoicznych domieszka megalomanii ostatecznie usuwa hamulce, po rojeniach Herdera i wykładach Fichtego, po marzeniu Schellinga o wspólnocie serc, odkąd Hegel sławił ducha narodu, pojęcie p r z e s t r z e n i ż y c i o w e j nie było niczym nowym. Narada odbyła się oczywiście w tajemnicy, ale daje nam to wyobrażenie o tym, jakie nastroje panowały w Berlinie tuż przed przybyciem Halifaxa. A to jeszcze nie wszystko. 8 listopada, dziewięć dni przed wizytą lorda, Goebbels otworzył w Monachium wielką wystawę dzieł poświęconych motywowi „odwiecznego Żyda". Tyle na temat scenerii. Nikt nie mógł nie wiedzieć o planach narodowych socjalistów, o ich agresywnych zamiarach. Pożar Reichstagu 27 lutego 1933, w tym samym roku otwarcie Dachau i sterylizacja psychicznie chorych, w kolejnym noc długich noży, w roku 1935 ustawy o ochronie krwi i honoru niemieckiego oraz ustalanie cech rasowych – to naprawdę sporo.

W Austrii, ku której zwróciły się oto ambicje Rzeszy, w 1934 roku naziści austriaccy zamordowali kanclerza Dollfussa, po tym jak z wysokości swoich stu pięćdziesięciu centymetrów nadał sobie pełnię władzy. Jego następca Schuschnigg kontynuował rządy autorytarne. Przez kilka kolejnych lat Niemcy prowadziły obłudną politykę zagraniczną, będącą mieszaniną zamachów, szantażu i kusicielskiego uroku. W końcu, zaledwie trzy miesiące po wizycie Halifaxa, Hitler uderzył w bardziej stanowcze tony. Schuschnigg, austriacki dyktatorek, otrzymał wezwanie do stawienia się w Bawarii. Przeminął czas potajemnych machinacji; wybiła godzina dyktatu.

12 lutego 1938 roku Schuschnigg udaje się zatem do Berchtesgaden na spotkanie z Adolfem Hitlerem. Przybywa na dworzec przebrany za narciarza – oficjalnie udaje się na wypoczynek do górskiego kurortu. Podczas gdy tragarze wnoszą do pociągu jego sprzęt narciarski, Wiedeń bawi się w najlepsze. Trwa bowiem karnawał: najweselsze dni w roku splatają się z najbardziej złowrogimi w dziejach spotkaniami. Orkiestra dęta, kadryl, finał. Wśród powodzi confetti rozlega się któryś ze stu pięćdziesięciu walców Straussa, tchnący elegancją i urokiem. Karnawał wiedeński nie jest oczywiście tak słynny jak karnawał w Wenecji czy w Rio. Tancerze nie noszą tak pięknych masek i nie tańczą równie zapamiętale. Nie. To po prostu seria balów. Mimo wszystko jednak jest to okres intensywnego świętowania. Najwyższe organy katolicko-korporacyjnego państewka urządzają uroczystości i zabawy. Oto więc, kiedy Austria kona, jej kanclerz znika nocą przebrany za narciarza, udając się w zmyśloną podróż, a Austriacy balują.

Rano na dworcu w Salzburgu stoi tylko wianuszek żandarmów. Jest wilgotno i zimno. Automobil wiozący Schuschnigga mija teren lotniska, a potem wjeżdża na główną szosę; rozległe szare niebo skłania do zadumy. Marzenia kanclerza płyną w rytm kołysania samochodu, mieszają się ze zmrożonymi płatkami śniegu. Wszelkie żywe istoty są nędzne i samotne; wszystkie drogi są smutne. Zbliża się granica, Schuschnigg czuje nagły przestrach; ma wrażenie, że znalazł się u progu prawdy; patrzy na czaszkę szofera.

Na granicy jest von Papen, który wyjechał mu na spotkanie. Jego pociągła, nobliwa twarz uśmierza obawy Schuschnigga. Kiedy kanclerz wsiada do samochodu, von Papen oznajmia, że w obradach będą uczestniczyli trzej niemieccy generałowie: „Chyba nie będzie pan miał nic przeciwko temu?" – rzuca niedbałym tonem. Próba zastraszenia jest grubymi nićmi szyta. Najbrutalniejsze posunięcia odbierają człowiekowi mowę. Nie ośmiela się odezwać. Zamiast niego odpowiada tkwiąca gdzieś w głębi, zbyt uprzejma i zbyt nieśmiała istota; mówi coś całkiem przeciwnego niż to, co należałoby powiedzieć. Schuschnigg zatem nie protestuje i auto jak gdyby nigdy nic rusza w dalszą drogę. Kiedy martwy

wzrok Austriaka błądzi po poboczu, wyprzedza ich wojskowa ciężarówka, a za nią dwa wozy opancerzone SS. Kanclerza Austrii ogarnia głuchy lęk. Po co przyjechał do tego gniazda os? Samochód wspina się powoli ku Berchtesgaden. Schuschnigg wpatruje się w wierzchołki sosen, usiłując opanować niepokój. Milczy. Von Papen również nie odzywa się ani słowem. W końcu auto dociera do Berghofu, brama otwiera się i zamyka. Schuschnigg czuje, że wpadł w potworną pułapkę.

## Spotkanie w Berghofie

Około jedenastej przed południem po paru grzecznościowych piruetach za kanclerzem Austrii zamykają się drzwi gabinetu Adolfa Hitlera. Wówczas następuje jedna z najbardziej fantastycznych i groteskowych scen wszech czasów. Dysponujemy tylko jednym świadectwem. Relacją Kurta von Schuschnigga.

Krótka opowieść, zawarta w najbardziej przejmującym rozdziale jego pamiętników zatytułowanych *Requiem dla Austrii*, poprzedzona nieco pompatycznym mottem z Tassa, rozpoczyna się przy jednym z okien Berghofu. Führer właśnie poprosił Schuschnigga, by usiadł, i kanclerz Austrii, trochę nieswój, na zmianę krzyżuje i prostuje nogi. Czuje się oszołomiony. Niepokój, który go wcześniej ogarnął, jest tu razem z nim, przyczajony między kasetonami na suficie, ukryty pod fotelami. Schuschnigg, który nie bardzo wie, co powiedzieć, zwraca głowę ku oknu i podziwia widok; następnie zagaja z ożywieniem na temat kluczowych rozmów, jakie się zapewne odbywały w tym gabinecie. Hitler natychmiast przywołuje go do porządku: „Nie siedzimy tutaj po to, żeby rozmawiać o pięknych widokach i pogodzie!". Schuschnigg, całkiem porażony, próbuje ratować sytuację, wygłaszając napuszoną, niezgrabną przemowę, w której nawiązuje do mizernego austriacko-niemieckiego układu z lipca 1936 roku, jakby przyjechał tylko w tym celu, by rozwiązać jakieś drobne, przejściowe trudności. Wreszcie, w odruchu rozpaczy, uczepiony swoich uczciwych intencji niczym nędznego koła ratunkowego, kanclerz Austrii oświadcza, że w ostatnich latach realizował politykę niemiecką, niewątpliwie niemiecką! I tu go czekał Adolf Hitler.

„Co? I pan to nazywa polityką niemiecką, panie Schuschnigg? Wprost przeciwnie, robił pan wszystko, by unikać prowadzenia polityki niemieckiej!" – wrzeszczy Führer. A kiedy Schuschnigg usiłuje niezręcznie się tłumaczyć, rozwścieczony Hitler odzywa się jeszcze ostrzej: „Austria

nie zrobiła zresztą nigdy niczego, co służyłoby Rzeszy. Jej dzieje są nieprzerwanym ciągiem zdrad".

Schuschnigg czuje, że mu się pocą dłonie; jaki ogromny wydaje się ten pokój! A przecież wszystko wygląda zwyczajnie. Fotele obite niegustowną tkaniną, za miękkie poduszki, gładka boazeria, abażury ze zwisającymi u dołu pomponikami. Nagle Schuschnigg jest sam na zimnej murawie, pod wysokim zimowym niebem, naprzeciw gór. Okno staje się olbrzymie. Hitler patrzy na niego bladymi oczyma. Schuschnigg znów krzyżuje nogi i poprawia okulary.

Na razie Hitler zwraca się do niego per pan, a Schuschnigg niewzruszenie nazywa go nadal kanclerzem. Hitler zbeształ go, a Schuschnigg tłumaczył się, że prowadził politykę niemiecką; teraz kanclerz Niemiec obraża Austrię, posuwając się nawet do wykrzykiwania, że jej wkład w historię Niemiec jest zerowy, a wielkoduszny, tolerancyjny Schuschnigg, zamiast obrócić się na pięcie i uciąć rozmowę, jak pilny uczeń szuka rozpaczliwie w pamięci przykładu, który potwierdzałby domniemany wkład Austrii w Historię. Pospiesznie, w popłochu przeszukuje zakamarki dziejów. Lecz jego pamięć jest pusta, świat jest pusty, Austria jest pusta. A oczy Führera uparcie się w niego wpatrują. I nagle, wiedziony rozpaczą, cóż takiego znajduje? Beethovena. Poczciwego Ludwiga van Beethovena, popędliwego starca, republikanina, zgnębionego samotnika. Wyciągnie z lamusa Beethovena, syna alkoholika, ś n i a d o l i c e g o; jego właśnie Kurt von Schuschnigg, kanclerz Austrii, rasista i nabożny szlachetka wyciąga raptem z zakamarków Historii i zaczyna nim wywijać jak białą chustą przed twarzą Hitlera. Biedny Schuschnigg. Przeciw obłędowi wystawi muzyka, przeciw groźbie militarnego najazdu wystawi IX symfonię, trzy nutki Appassionaty, by dowieść, że Austria zasłużyła się dla Historii.

„Beethoven nie jest Austriakiem – odparowuje szyderczo Hitler, zaskakując go tym nieoczekiwanym ciosem. – Jest Niemcem". To prawda. Schuschnigg o tym nie pomyślał. Beethoven jest Niemcem, to nie podlega dyskusji. Urodził się w Bonn. A Bonn – niezależnie od tego, jak na to patrzeć, nawet jeśli dyskretnie nagniemy fakty, nawet jeśli przeszukamy wszelkie kroniki – nigdy, przenigdy nie było miastem austriackim. Z Bonn

jest do Austrii tak samo daleko jak z Paryża! Równie dobrze można by powiedzieć, że Beethoven jest Rumunem czy choćby Ukraińcem, to jeszcze bliżej. Albo na przykład Chorwatem, czemu nie mielibyśmy sobie żałować, albo marsylczykiem, bo przecież na dobrą sprawę Marsylia wcale nie leży o wiele dalej od Wiednia.

„To prawda – bąka Schuschnigg – ale Austria jest jego przybraną ojczyzną". Jesteśmy stanowczo na antypodach narady przywódców państw.

Dzień był ponury. Spotkanie dobiegło końca. Należało jeszcze razem zjeść obiad. Dwaj panowie zeszli ramię w ramię po schodach. Zanim wkroczyli do sali jadalnej Berghofu, uwagę Schuschnigga przyciągnął portret Bismarcka: lewa powieka wielkiego kanclerza opada nieubłaganie na oko, wzrok jest zimny, wyzbyty złudzeń; skóra wydaje się zwiotczała. Weszli do jadalni, usiedli – Hitler pośrodku, kanclerz Austrii naprzeciw niego. Obiad upłynął bez zakłóceń. Hitler wyglądał na odprężonego, był nawet rozmowny. W porywie dziecinnej pychy powiedział, że w Hamburgu wybuduje n a j w i ę k s z y m o s t n a ś w i e c i e. Potem, nie mogąc się najwyraźniej powściągnąć, dodał, że wzniesie tam wkrótce n a j w y ż s z e w i e ż o w c e; Amerykanie przekonają się wówczas, że w Niemczech buduje się wyżej i znacznie lepiej niż w Stanach Zjednoczonych. Następnie udano się do salonu. Kawę podawali młodzi esesmani. Wreszcie Hitler oddalił się, a kanclerz Austrii natychmiast zaczął kopcić jak smok.

Zachowane fotografie Schuschnigga ukazują dwie twarze: jedną zimną, surową, i drugą bardziej nieśmiałą, wycofaną, niemal marzycielską. Na jednym ze słynnych zdjęć ma zaciśnięte usta, wygląda na zagubionego, postawa wyraża rodzaj poddania się, upadku. Fotografię wykonano w roku 1934 w jego mieszkaniu w Genewie. Schuschnigg stoi, może czymś zaniepokojony. W rysach ma pewną słabość, niezdecydowanie. Wydaje się, że w ręku trzyma jakąś kartkę, ale zdjęcie jest nieostre, a u dołu jego część przesłania czarna plama. Przy uważnym przyjrzeniu się widzimy, że klapa kieszeni marynarki jest zagięta, przyciśnięta ręką, a potem spostrzegamy jakiś dziwny przedmiot, może roślinę, wchodzący w kadr z prawej strony. W takim kształcie jednak, jaki tu opisuję, nikt tego zdjęcia nie zna. Żeby je

zobaczyć, trzeba się udać do francuskiej Biblioteki Narodowej, do działu rycin i fotografii. Zdjęcie, które znamy, zostało przycięte, wykadrowane. A zatem oprócz paru młodszych archiwistów zajmujących się rejestrowaniem i przechowywaniem dokumentów nikt nigdy nie widział zagiętej klapy kieszeni Schuschnigga ani dziwnego przedmiotu – rośliny albo sam nie wiem czego – przy prawym brzegu zdjęcia, ani białej kartki. Po wykadrowaniu fotografia wywiera całkiem inne wrażenie. Ma w sobie coś oficjalnego, tchnie godnością. Wystarczyło usunąć parę nieistotnych milimetrów, kawałeczek prawdy, by kanclerz Austrii wydawał się poważniejszy, mniej zagubiony niż na pierwotnym ujęciu: tak jakby nieznaczne domknięcie pola, wymazanie kilku nieuładzonych elementów, skupienie uwagi na Schuschniggu przydało mu spoistości. Na tym polega sztuka narracji, w której nic nie jest niewinne.

Teraz jednak, w Berghofie, nie może być mowy o spoistości ani o godności. Tu możliwy jest tylko jeden sposób kadrowania, liczy się wyłącznie sztuka przekonywania, jest tylko jedna metoda uzyskiwania tego, czego się pragnie: zastraszanie. Tak, tutaj króluje strach. Skończyły się uprzejmości podszyte aluzjami, powściągliwość w okazywaniu przewagi, pozory. Tutaj mizerny junkier drży. Z początku Schuschniggowi nie mieści się w głowie, że ktoś się ośmielił tak do niego mówić. Zwierzył się zresztą później jednemu ze swoich współpracowników, że poczuł się znieważony A jednak zostaje, nie okazuje cienia niezadowolenia, pali. Odpala jednego szluga od drugiego.

Mijają dwie długie godziny. Wreszcie około czwartej po południu Schuschnigga i jego doradcę proszą do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie są już Ribbentrop i von Papen. Ci dają Austriakom do przeczytania kilka artykułów nowego układu między dwoma państwami, zaznaczając, że są to ostateczne warunki, na jakie godzi się Führer. Czego jednak żąda ten układ? Przede wszystkim domaga się – za pomocą pustej i niewiele znaczącej formuły – by Austria i Rzesza konsultowały się nawzajem w sprawach międzynarodowych dotyczących obu stron. Żąda – i tu zaczynają się schody – zalegalizowania w Austrii ideologii narodowo-socjalistycznej i mianowania Seyss-Inquarta, nazisty, ministrem spraw wewnętrznych – co jest niesłychaną ingerencją. Żąda ponadto, by dr Fischböck, zdeklarowany nazista, również znalazł się w rządzie. Żąda

następnie amnestii dla wszystkich więzionych w Austrii narodowych socjalistów, łącznie z przestępcami. Żąda, by przywrócić na poprzednie stanowiska wszystkich urzędników i funkcjonariuszy państwowych wyznających narodowy socjalizm. Żąda natychmiastowej wymiany setki oficerów między armiami obydwu państw i mianowania nazisty Glaise-Horstenaua na urząd ministra spraw wojskowych w rządzie austriackim. I wreszcie ostatnia zniewaga: żąda odwołania szefów propagandy austriackiej. Wszystkie te postanowienia mają wejść w życie w terminie tygodniowym, a w zamian – cóż za szlachetne ustępstwo! – „Niemcy potwierdzają niepodległość Austrii i ważność umowy z lipca 1936 roku", którą właśnie pozbawiono wszelkiej treści. Na końcu umieszczono formułę, która po wszystkim, cośmy przeczytali, wprawia w zadziwienie: „Niemcy wyrzekają się jakichkolwiek ingerencji w politykę wewnętrzną Austrii". Mamy wrażenie, że śnimy.

Wywiązuje się dyskusja i Schuschnigg usiłuje uzyskać złagodzenie niemieckich żądań; przede wszystkim jednak chce zachować twarz. Rozmowa schodzi na pomniejsze szczegóły. Zupełnie jakby wokół kałuży zebrało się kilka ropuch, które przekazują sobie kolejno to samo oko i jeden jedyny ząb i kolejno się nimi posługują. Wreszcie po długich negocjacjach Ribbentrop zgadza się zmodyfikować trzy artykuły i wprowadzić do nich kilka drobnych zmian. Nagle dyskusja zostaje przerwana: Hitler wzywa Schuschnigga.

Lampy jasno oświetlają gabinet. Hitler przemierza go wielkimi krokami wzdłuż i wszerz. Kanclerz Austrii znów czuje się nieswojo. Ledwo siada, Hitler przypuszcza atak, oznajmiając, że podjął ostatnią próbę zawarcia ugody. „Ma pan tu projekt – powiada – i nie będzie żadnych negocjacji. Nie zmienię ani przecinka! Albo pan podpisze, albo nie mamy o czym dłużej rozmawiać. Podejmę decyzję w ciągu najbliższej nocy". Hitler przybiera swój najpoważniejszy i najbardziej złowrogi ton.

Teraz kanclerz Schuschnigg będzie musiał za chwilę dokonać wyboru między hańbą a wielkością. Czy ugnie się przed tą podłą manipulacją i przyjmie ultimatum? Ciało jest narzędziem rozkoszy. Ciało Hitlera miota się bez opamiętania. Jest sztywne jak automat i zakaża niczym plwocina.

Ciało Hitlera wniknęło do snów i umysłów, rzekłbyś, że odnajdujemy je w zakamarkach czasu, na ścianach więziennych cel, pełza pod pryczami, wszędzie tam, gdzie ludzie wyryli sylwetki nawiedzające ich w sennych koszmarach. Być może zatem w chwili, gdy Hitler rzucał Schuschniggowi w twarz swoje ultimatum, w chwili, gdy losy świata w kapryśnym splocie miejsca i czasu znalazły się na jedno jedyne mgnienie w rękach Kurta von Schuschnigga, o kilkaset kilometrów stamtąd, w szpitalu dla obłąkanych w Ballaigues Louis Soutter rysował właśnie palcami na papierowym obrusie jeden ze swoich mrocznych tańców. Szpetne, przerażające kukły podrygują aż po horyzont świata, nad którym przetacza się czarne słońce. Szkielety, widma biegają i uciekają na wszystkie strony, wyłaniają się z mgły. Nieszczęsny Soutter. Spędził już w przytułku ponad piętnaście lat, od piętnastu lat maluje swoje lęki na wyciągniętych ze śmieci skrawkach papieru, na zużytych kopertach. W chwili, kiedy w Berghofie ważą się losy Europy, jego mroczne ludziki, powyginane jak żelazne druty, sprawiają wrażenie przepowiedni.

Soutter wrócił z długiej zagranicznej podróży, z dalekiego, bardzo dalekiego kraju na drugim końcu świata w stanie niepokojącego wyniszczenia. Później imał się dorywczych zajęć. Podczas sezonu turystycznego przygrywał do fajfów, a gdziekolwiek się zjawił, poprzedzała go fama o jego obłędzie. Twarz wyrażała głęboką melancholię. Wreszcie zamknięto go w szpitalu psychiatrycznym w Ballaigues. Od czasu do czasu uciekał; przyprowadzano go z powrotem, wychudłego, na wpół zamarzniętego. W swoim pokoiku na poddaszu układał jeden na drugim kolejne rysunki, monstrualny stos szkiców przedstawiających niekształtne czarne istoty, rozedrgane kalekie postacie. Jego własne ciało było wynędzniałe, znużone długimi wędrówkami od wioski do wioski. Policzki miał chude, zapadnięte; stracił wszystkie zęby. Pod koniec w wykrzywionych artretyzmem dłoniach nie mógł już utrzymać pędzla ani pióra, niemal całkiem oślepł; wówczas, około 1937 roku, zaczął malować palcami, maczając je po prostu w tuszu. Miał blisko siedemdziesiąt lat. Stworzył wtedy swoje najpiękniejsze dzieła: malował całe armie powykręcanych, rozdygotanych czarnych sylwetek – rzekłbyś, grona krwi. Chmary szarańczy. Ta szaleńcza kotłowanina żyła w umyśle Souttera niczym przerażająca obsesja. Pamiętając jednak, co się wówczas działo

w Europie, wokół niego, podczas długich lat, kiedy przebywał w zamknięciu w Ballaigues, w paśmie Jury, można się dopatrzyć w tym potoku podrygujących, cierpiących, gestykulujących czarnych ciał, w łańcuchach szkieletów czegoś w rodzaju zapowiedzi. Zupełnie jakby nieszczęsny Soutter osaczony przez swoje urojenia, malując palcami filmował, być może bezwiednie, powolną agonię otaczającego go świata. Zupełnie jakby stary Soutter kazał całemu światu podążać za nędznym karawanem. Wszystko przemienia się w płomienie i gęsty dym. Soutter macza palce w niewielkim kałamarzu i ukazuje nam martwą prawdę swojej epoki. Wielki taniec śmierci.

Towarzystwo zebrane w Berghofie znajdowało się bardzo daleko od Louisa Souttera, daleko od jego osobliwej nieśmiałości, daleko od jadalni w Ballaigues. Zajmowano się tam bardziej przyziemnymi sprawami. W tej samej minucie, w której Louis Soutter maczał być może swoje obolałe palce w kałamarzu z czarnym tuszem, Schuschnigg patrzył na Adolfa Hitlera, nie mogąc oderwać wzroku. Napisał później w swoich pamiętnikach, że Hitler wywierał na ludzi magiczny wpływ. I dodał: „Führer przyciągał ku sobie ludzi za pomocą magnetycznej siły, a następnie odpychał ich tak brutalnie, że otwierała się przepaść, której nic nie zdołałoby zasypać". Jak widać, Schuschnigg nie skąpi ezoterycznych wytłumaczeń. Usprawiedliwia to jego słabości. Kanclerz Rzeszy jest istotą nadprzyrodzoną, taką, jaką chciałaby nam ukazać Goebbelsowska propaganda, kapryśną, przerażającą, natchnioną.

W końcu Schuschnigg ugiął się, a nawet gorzej. Zaczął coś bąkać. Następnie oświadczył, że jest gotów złożyć podpis, z jednym tylko zastrzeżeniem, najbardziej nieśmiałym i bezradnym, jakie sobie można wyobrazić, a także najwątlejszym: „Chciałbym wszakże zwrócić panu uwagę na fakt, że ten podpis nic panu nie daje" – rzekł, a na jego twarzy odbiła się zapewne wyraźnie mieszanina chytrości i słabości. W tym momencie napawał się pewnie zaskoczeniem Hitlera. Napawał się pewnie jedyną iskierką wyższości nad Adolfem Hitlerem, jaką zdołał wydrzeć przeznaczeniu. Tak, on również doznał pewnie rozkoszy, lecz w inny sposób, być może jak ślimak za sprawą swoich miękkich rogów. Tak, z pewnością doznał rozkoszy. Cisza, jaka zapadła po jego odpowiedzi,

trwała wieczność. Schuschnigg poczuł w sobie odrobinę niezłomności. I poruszył się niespokojnie na krześle.

Hitler rzucił mu pytające spojrzenie. Co Schuschnigg miał na myśli? „Zgodnie z naszą konstytucją – podjął mentorskim tonem kanclerz Austrii – członków rządu mianuje osoba sprawująca najwyższą władzę w państwie, czyli prezydent republiki. Amnestia również jest jego wyłączną prerogatywą". A więc to tak, nie dość, że ugiął się przed Adolfem Hitlerem, chciał się jeszcze schować za cudzymi plecami. Oto nagle ten dyktatorek godził się podzielić z kimś władzą, kiedy się okazało, że jest ona zatruta.

Najdziwniejsza z tego wszystkiego była jednak reakcja Hitlera. Teraz on wyjąkał, jakby nie rozumiał do końca, co się dzieje: „A więc macie u siebie prawa…". Przeszkody wynikające z prawa konstytucyjnego wykraczały poza jego rozumienie. On, któremu dla celów propagandowych zależało na zachowaniu pozorów, musiał się nagle poczuć zdezorientowany. Prawo konstytucyjne jest jak matematyka, nie da się tutaj oszukiwać. Wyjąkał jeszcze: „A więc musicie…". Teraz Schuschnigg musiał się prawdziwie rozkoszować zwycięstwem: wreszcie go dopadł! Zapędził w kozi róg prawem, swoimi studiami prawniczymi, swoim dyplomem! I proszę, znamienity adwokat dopadł niedouczonego mizernego agitatora. Tak, istnieje coś takiego jak prawo konstytucyjne, i służy ono nie termitom czy myszom, lecz kanclerzom, prawdziwym mężom stanu, ponieważ norma konstytucyjna, szanowny panie, jest równie skuteczną i potężną przeszkodą jak zwalone drzewo czy blokada policyjna!

Wówczas Hitler w stanie najwyższego podenerwowania otworzył z wściekłością drzwi i wrzasnął w głąb korytarza: „Generale Keitel!". Następnie odwrócił się do Schuschnigga i rzucił: „Każę pana wezwać później". Schuschnigg wyszedł, a drzwi na powrót się zamknęły.

Podczas rozprawy w Norymberdze generał Keitel zrelacjonował to, co potem nastąpiło. Był jedynym świadkiem tej sceny. Kiedy wszedł do gabinetu, Hitler kazał mu po prostu usiąść i sam również usiadł. Za tajemniczymi drewnianymi drzwiami Führer oznajmił, że nie ma mu nic szczególnego do powiedzenia, a następnie przez jakiś czas trwał w milczeniu. Obaj zastygli w bezruchu. Hitler pogrążył się w zadumie,

a Keitel siedział przy nim, nie odzywając się ani słowem. W oczach kanclerza był bowiem jedynie pionkiem, niczym więcej, i do tego tylko mu służył. Dlatego właśnie, choć może się to wydać bardzo dziwne, w ciągu tego trwającego długie minuty spotkania nie wydarzyło się zupełnie, ale to zupełnie nic. Tak przynajmniej wynika z tego, co powiedział Keitel.

W tym czasie Schuschnigg i jego doradca obawiają się najgorszego. Liczą się nawet z tym, że zostaną aresztowani. Upływa czterdzieści pięć minut… Omawiają dalej machinalnie z Ribbentropem i von Papenem kolejne klauzule układu; ale czemu to ma służyć, skoro Hitler zapowiedział, że nie zmieni ani przecinka? Być może Schuschnigg usiłuje w ten sposób dodać sobie otuchy, trzeba za wszelką cenę doprowadzić do tego, by się wydawało, że nic się nadzwyczajnego nie dzieje. Zachowuje się więc nadal tak, jakby chodziło o prawdziwą naradę przywódców dwóch państw, jakby wciąż jeszcze reprezentował suwerenny kraj. W rzeczywistości jednak usiłuje po prostu zapobiec temu, by jego opłakanemu położeniu nadano charakter formalny, przez co stałoby się nieodwracalne.

W końcu Hitler każe poprosić do siebie Kurta von Schuschnigga. I oto za sprawą sztuki uwodzenia, która to tchnie lodem, to rozpala żar i z aktu na akt zmienia tonację, kolce w magiczny sposób znikają. „Postanowiłem po raz pierwszy w życiu wycofać się z podjętej wcześniej decyzji" – oznajmia Adolf Hitler, jakby okazywał niesłychaną łaskę. W tym momencie być może się uśmiecha. Kiedy gangsterzy albo furiaci zaczynają się uśmiechać, trudno im się oprzeć – chcemy jak najszybciej usunąć źródło naszych udręk, chcemy mieć spokój. A poza tym uśmiech między dwiema sesjami tortur psychicznych ma pewnie szczególny urok, jak błysk słońca na zaciągniętym chmurami niebie. „Tylko uprzedzam pana – dodaje Hitler, wplatając nagle w wyznanie nutę powagi – że jest to ostatnia próba porozumienia. Oczekuję wykonania warunków układu w ciągu trzech dni". I podczas gdy nie tylko nic się nie zmieniło, nie tylko uzyskane wcześniej drobne modyfikacje nie zostały wzięte pod uwagę, lecz także termin wypełnienia ultimatum skrócono bez jakiegokolwiek uzasadnienia o pięć dni, Schuschnigg zgadza się bez słowa protestu. Jest u kresu sił i przystaje na układ jeszcze bardziej katastrofalny niż poprzedni, jakby uzyskał ustępstwo.

Po odesłaniu dokumentów do kancelarii panowie odbyli miłą pogawędkę. Hitler mówił teraz do Schuschnigga „panie kanclerzu", co zakrawało na szyderstwo. Wreszcie złożono autografy na przepisanych na maszynie egzemplarzach i kanclerz Rzeszy zaproponował Schuschniggowi i jego doradcy, by zostali na kolacji. Obaj grzecznie odmówili.

## SZTUKA NIEPODEJMOWANIA DECYZJI

Przez kolejne dni armia niemiecka prowadziła manewry zastraszające. Hitler polecił swoim najlepszym generałom, by symulowali przygotowania do najazdu. Było to coś niebywałego, w historii wojskowości zdarzały się oczywiście wszelkiego rodzaju gry na zmylenie przeciwnika, ta jednak miała całkiem inny charakter. Nie mamy do czynienia z jakimś posunięciem taktycznym czy strategicznym – nikt nie prowadzi jeszcze wojny. Jest to po prostu manewr psychologiczny, zwykła groźba. Byłoby bardzo ciekawe wyobrazić sobie, jak niemieccy generałowie odgrywali udawaną ofensywę. Warczą silniki, huczą śmigła, a potem dowcipnisie wysyłają puste ciężarówki, żeby jeździły w kółko przy samej granicy.

W Wiedniu, w gabinecie prezydenta Miklasa rośnie strach. Manewry wywołują pożądany skutek. Rząd austriacki wyobraża sobie, że Niemcy naprawdę szykują się do najazdu. Padają wówczas najrozmaitsze szalone propozycje. Może da się ugłaskać Hitlera, darowując mu jego rodzinne miasto, Braunau nad Innem, wraz z dziesięcioma tysiącami mieszkańców, Fontanną Rybaków, szpitalem, piwiarniami. Tak, dajmy mu rodzinne miasto, rodzinny dom z ładnymi zwieńczeniami okien w kształcie muszli. Dajmy mu kawałek jego wspomnień i niech nas zostawi w spokoju! Schuschnigg sam już nie wie, co by wymyślić, by zachować swój malutki tron. Obawiając się niezwłocznej agresji niemieckiej, błaga Miklasa, by zgodził się na układ i mianował Seyss-Inquarta ministrem spraw wewnętrznych. Seyss-Inquart to przecież nie żaden potwór, zapewnia Schuschnigg, chociaż nazista, lecz o umiarkowanych poglądach, prawdziwy patriota. A poza tym pozostaną nadal w doborowym towarzystwie, bo nazista Seyss-Inquart i sterroryzowany przez Hitlera dyktatorek Schuschnigg są niemal kolegami. Obaj studiowali prawo, obaj wertowali *Instytucje Justyniana*, jeden napisał niewielki erudycyjny artykuł na temat rzeczy niczyich, tajemniczego obiektu prawnego odziedziczonego po Rzymianach, drugi doczekał się uznania wśród specjalistów za rozprawę na temat sam nie wiem jakiego spornego punktu

prawa kanonicznego. A do tego obaj kochają do szaleństwa muzykę. Są miłośnikami Brucknera i wymieniają uwagi na temat jego muzycznego języka w urzędzie kanclerskim, tam, gdzie odbywał się kongres wiedeński, w korytarzach, po których Talleyrand obnosił swoje szpiczaste trzewiki i żmijowy język. Schuschnigg i Seyss-Inquart rozmawiają o Brucknerze w cieniu Metternicha, kolejnego specjalisty od pokoju; rozmawiają o życiu Antona Brucknera, życiu nabożnym i skromnym. Przy tych słowach okulary Schuschnigga zachodzą mgłą, głos mu się łamie. Kanclerz myśli być może o swojej pierwszej żonie, o strasznym wypadku samochodowym, o latach żalu i wyrzutów sumienia. Seyss-Inquart zdejmuje okularki skarabeusza i peroruje, mijając okna korytarza. Z niejakim przejęciem szepce, że Bruckner – nieszczęsny muzyk – spędził trzy miesiące w szpitalu psychiatrycznym; na to Schuschnigg spuszcza głowę; Seyss-Inquart, z widoczną na czole pulsującą żyłką, opowiada zadumany, że Anton Bruckner podczas swoich długich, bardzo długich spacerów liczył liście na drzewach, że z jakąś tajemną i jałową zawziętością chodził od drzewa do drzewa i z przerażeniem patrzył, jak rośnie nie dająca mu spokoju liczba. Liczył jednak również kamienie brukowe, okna w kamienicach, a kiedy rozmawiał z damą, nie mógł się powstrzymać, by nie przeliczyć pospiesznie pereł w jej naszyjniku. Liczył włoski w sierści swojego psa, chmury na niebie. Zdiagnozowano to jako nerwicę natręctw – był to rodzaj ognia, który go trawił. „A więc – dodaje Seyss-Inquart, wpatrując się w żyrandole wielkiego hallu – Bruckner przedzielał swoje muzyczne motywy szyderczymi grymasami ciszy. Chyba nawet jego symfonie mają bardzo wymyślną kompozycję, regularne następstwo tematów. Można w nich wyróżnić – szepce Seyss-Inquart, a jego dłoń przesuwa się lekko po poręczy paradnych schodów – szczególne układy podporządkowane tak ścisłym, tak nieubłaganym regułom logicznym, że uniemożliwiły mu dokończenie IX symfonii. Przerwał pisanie ostatniej części na dwa lata; wprowadzał wciąż nowe poprawki, tworząc niekiedy nawet siedemnaście różnych wersji tego samego fragmentu".

Schuschnigga musiał z pewnością fascynować ten obłąkańczy system złożony z wahań i przeróbek. Być może dlatego obaj z Seyss-Inquartem najbardziej lubili rozprawiać – jak się dowiadujemy z czyjejś relacji – o IX symfonii Brucknera, z jej potężnymi rogami i tubami, zatrważającą

ciszą, a następnie cichym tchnieniem klarnetu i chwilą, w której skrzypce powoli wypluwają z siebie krwawe gwiazdki. Potem często mówili o Furtwänglerze, jego bardzo wysokim czole, bardzo łagodnym spojrzeniu muzyka i pałeczce, którą trzyma jak źdźbło trawy. W końcu dochodzili do Arthura Nikischa; a za Nikischem, który zagrał Beethovena pod dyrekcją Richarda Wagnera, za jego rytmicznym ruchem pałeczki, bardzo prostym, lecz zdolnym wydobyć z orkiestry najbogatsze tony, jakby za chwilę miał ledwo dostrzegalnym, władczym gestem uwolnić wnętrzności dzieła od atramentu partytury, za Nikischem, niegdyś członkiem orkiestry Liszta, którego jednym z nauczycieli był Salieri, Opatrzność ukazywała im Beethovena, Mozarta, a u samego kresu tego szalonego wiru dopatrywali się Haydna, dochodząc w ten sposób do najczarniejszej nędzy. Albowiem Haydn na długo przedtem, zanim stał się kompozytorem niezliczonych oper, symfonii, mszy, oratoriów, koncertów, marszów i tańców, jakim go znamy, był ubogim synem kołodzieja i kucharki, biedakiem zdzierającym podeszwy na wiedeńskim bruku i najmowanym do przygrywania na pogrzebach i ślubach. Taka nędza nie leży jednak w kręgu zainteresowań Schuschnigga i Seyss-Inquarta, nie, wolą oni podążać innym szlakiem i wraz z Lisztem przemierzać salony pięknej Europy.

Dla Seyss-Inquarta przechadzka skończy się jednak znacznie gorzej niż dla Schuschnigga, i po okresie sprawowania urzędów w Krakowie i w Hadze dotrze do kresu swojej mizernej kariery statysty w Norymberdze. Tam oczywiście pójdzie w zaparte. On, który był jednym z głównych aktorów przyłączenia Austrii do Trzeciej Rzeszy, nic nie zrobił; on, który otrzymał zaszczytny stopień Gruppenführera SS, niczego nie widział; jemu, który był ministrem bez teki w rządzie Hitlera, o niczym nie mówiono; on, który był zastępcą generalnego gubernatora Polski, współodpowiedzialnym za brutalne zwalczanie polskiego ruchu oporu, nie wydawał żadnych rozkazów; on, który w końcu został komisarzem Rzeszy w Holandii i według aktu oskarżenia w procesie norymberskim kazał stracić ponad cztery tysiące ludzi, on, przekonany antysemita, który wyrzucił Żydów ze wszystkich stanowisk kierowniczych i miał wydatny udział w podejmowaniu decyzji, które doprowadziły do śmierci około stu tysięcy Żydów holenderskich, nic nie wiedział. I kiedy znów grzmią trąby, tym razem dla niego, wraca do swoich adwokackich tonów, zgłasza

zastrzeżenia, powołuje się na jeden, drugi, kolejny dokument, pedantycznie wertuje pliki materiałów dowodowych.

16 października 1946 roku, mając pięćdziesiąt cztery lata, on, syn dyrektora szkoły, Emila Zajticha, który porzucił to nazwisko na rzecz bardziej niemieckiego, on, który spędził najmłodsze lata w Stannern na Morawach i zamieszkał w Wiedniu w wieku lat dziewięciu, znalazł się oto w Norymberdze i stoi nad przepaścią. Jest na podeście; po wielu tygodniach spędzonych w więziennej celi, gdzie go śledzono dzień i noc przy świetle lampy oślepiającej jak lodowe słońce, gdzie mu wreszcie nocą oznajmiono, że nastąpiła jego ostatnia godzina, zszedłszy po paru stopniach na podwórze, uczyniwszy kilka niepewnych kroków w asyście idących gęsiego żołnierzy, wspiąwszy się jako ostatni po śmierci pozostałych dziewięciu skazańców, idzie teraz, potykając się, za wielką odźwierną. W baraku, w którym wzniesiono szubienice i który przypomina niechlujnie zbudowany hangar, na pierwszy ogień poszedł Ribbentrop. Już nie wyniosły, jak często bywało, ani też nieugięty, jak podczas negocjacji w Berghofie, tylko załamany w obliczu nadchodzącej śmierci. Utykający staruszek.

Potem następnych ośmiu, aż przyszła kolej na niego, na Arthura Seyss-Inquarta. Robi krok w stronę kata. To John C. Woods, jego ostatni świadek. W świetle reflektorów Seyss-Inquart, jak oślepiona ćma, dostrzega nagle szeroką twarz Woodsa. Poufne świadectwo lekarskie stwierdza, posługując się pełnym sprzeczności, zakamuflowanym żargonem, że Woods był trochę niedorozwinięty – ale czy kto inny podjąłby się takiego zadania? Inne relacje mówią o przygłupie, pijaku i samochwale. Podobno u kresu swojej kariery kata, po piętnastu latach wiernej służby chełpił się, wypiwszy tuzin szklanek whisky, że stracił przez powieszenie trzystu czterdziestu siedmiu skazańców; liczbę tę podawano w wątpliwość. W każdym razie tego październikowego dnia od jego skromnych początków minęło już sporo czasu i miał za sobą wiele egzekucji; pewna fotografia ukazuje go nam innego dnia w 1946 roku, kiedy to w asyście Johanna Reichharta, również specjalisty od sznura i worka, dokonał egzekucji trzydziestu skazańców; lewy rząd dla Woodsa, prawy dla Reichharta, który miał na koncie stracenie kilku tysięcy osób za czasów

Trzeciej Rzeszy i którego Amerykanie zatrudnili z uwagi na naglące potrzeby. I ta właśnie przekrwiona, pucołowata twarz – śmierć bowiem daje nam to, czym w danej chwili dysponuje – była dla Seyss-Inquarta obliczem wielkiej odźwiernej.

Teraz Seyss-Inquart szuka słów: gdzie się podziały? Skończyły się salonowe pogawędki, rozkazy, mowy sądowe, pozostało tylko jedno zdanie. Zupełnie banalne. Słowa tak ubogie, że wszystko widać przez nie na wylot, i wyrażające dziwną deklarację: „Wierzę w Niemcy". Wtedy Woods wciąga mu wreszcie kaptur na twarz i zakłada na szyję sznur, po czym wprawia w ruch mechanizm zapadni. I Seyss-Inquart – pośród leżącego w zgliszczach świata – raptownie znika w otworze.

## ROZPACZLIWA PRÓBA

Mamy jednak dopiero 16 lutego 1938 roku. Kilka godzin przed terminem ultimatum Miklas, samotny w pałacu prezydenckim, również się poddaje. Zabójcy Dollfussa zostają zwolnieni na mocy amnestii, Seyss-Inquart otrzymuje tekę ministra spraw wewnętrznych, a esesmani maszerują ulicami Linzu, wymachując wielkimi flagami. Na papierze Austria jest martwa: znajduje się pod protektoratem niemieckim. Jak się jednak możemy przekonać, nie ma tu nic z intensywności koszmaru ani wspaniałości przerażenia. Nic, tylko śliskie machinacje i szalbierstwa. Żadnej brutalnej wyniosłości ani strasznych, nieludzkich słów, nic poza bezlitosną groźbą, poza monotonną i prymitywną propagandą.

Kilka dni później jednak Schuschnigg zaczyna się denerwować – narzucony siłą układ stoi mu kością w gardle. W ostatnim odruchu sprzeciwu oświadcza w parlamencie, że Austria pozostanie niepodległa i nie będzie dalszych ustępstw. Sytuacja się zaognia. Członkowie partii narodowo-socjalistycznej wychodzą na ulice i sieją postrach. Policja nie interweniuje, ponieważ ministrem sprawiedliwości jest już nazista Seyss-Inquart.

Nie ma nic gorszego niż ta rozgoryczona tłuszcza, bojówki z opaskami i odznakami wojskowymi, dorastający chłopcy schwytani w pułapkę fałszywych dylematów, trwoniący w tej przerażającej przygodzie młodzieńczy entuzjazm. W owej chwili Schuschnigg, mizerny dyktatorek Austrii, stawia wszystko na jedną kartę. A przecież powinien wiedzieć, że w każdej rozgrywce jest pewien krytyczny próg, poza którym nie sposób się już odegrać; pozostaje tylko patrzeć, jak przeciwnik przebija jedną po drugiej nasze najwyższe karty i zgarnia lewy: damy, króle, wszystko, czym nie potrafiliśmy w odpowiednim momencie zagrać i co trzymaliśmy z gorączkową nadzieją, że się nam przyda. Schuschnigg bowiem jest niczym. Niczego nie dźwiga, nie jest niczyim przyjacielem, niczyją nadzieją. W dodatku ma same wady, arogancję arystokracji i kompletnie

przestarzałe poglądy polityczne. Ten, kto osiem lat wcześniej stanął na czele paramilitarnej organizacji młodzieży katolickiej, kto tańczył na trupie wolności, nie może oczekiwać, że przyfrunie mu ona znienacka na ratunek! Żaden promyk słońca nie rozświetli nagle jego nocy, żaden uśmiech nie rozkwitnie na twarzy widma, by go zachęcić do spełnienia ostatniego obowiązku; nie zabrzmią żadne spiżowe słowa, nie spłynie żaden okruch łaski, nie ukaże się żaden promyk światła, nic. Schuschnigg nie ujrzy twarzy zalanej łzami. Nie jest niczym więcej niż graczem i kiepski z niego rachmistrz; uwierzył chyba nawet w szczerość niemieckich sąsiadów, w zapewnienia, że dotrzymają układów, choć podpisał je pod przymusem. Teraz, poniewczasie, obleciał go strach: wzywa na pomoc boginie, które sponiewierał, powołuje się na śmiechu warte zobowiązania w imię martwej już niepodległości. Nie chciał wcześniej spojrzeć prawdzie w oczy, ona zaś staje teraz przed nim, straszliwa, nieunikniona. I wypluwa mu prosto w twarz bolesną tajemnicę jego kompromisów.

Wówczas, w ostatnim odruchu tonącego, Schuschnigg szuka oparcia w partii socjaldemokratycznej i w związkach zawodowych, choć od czterech lat są nielegalne. W obliczu zagrożenia socjaliści zgadzają się go jednak wspomóc. Schuschnigg zgłasza pospiesznie propozycję zorganizowania plebiscytu dotyczącego niepodległości Austrii. Hitler wpada we wściekłość. W piątek 11 marca o piątej rano służący budzi Schuschnigga, dla którego będzie to najdłuższy dzień w życiu. Kanclerz staje bosymi stopami na podłodze. Drewniane klepki są zimne. Schuschnigg zakłada kapcie. Przychodzi wiadomość o wielkich ruchach wojsk niemieckich. Zamknięto przejście w Salzburgu i przerwano połączenia kolejowe między Niemcami a Austrią. W ciemnościach pełznie żmija. Życie jest nieznośnym ciężarem. Schuschnigg czuje się nagle bardzo stary, okropnie stary; ale będzie miał mnóstwo czasu, żeby o tym wszystkim myśleć, przesiedzi siedem lat w więzieniu pod rządami Trzeciej Rzeszy i będzie miał siedem lat, żeby się zastanawiać, czy słusznie postąpił, zakładając niegdyś swoją paramilitarną organizację katolicką; siedem lat na rozważania, co jest, a co nie jest prawdziwie katolickie, by rozdzielić światłość i zgliszcza. Więzienie, nawet dla kogoś, kto cieszy się drobnymi przywilejami, jest strasznym doświadczeniem. Po uwolnieniu przez aliantów będzie więc nareszcie wiódł spokojny żywot. I zupełnie jak gdyby

każdemu z nas dane były dwa życia, jakby gra ze śmiercią mogła wymazać nasze sny, jakby w mroku tych siedmiu lat spytał Boga: „Kim jestem?”, a Bóg odpowiedział: „Kimś innym”, były kanclerz wyjedzie do Stanów Zjednoczonych i stanie się modelowym Amerykaninem, modelowym katolikiem, modelowym wykładowcą na uniwersytecie katolickim w Saint Louis. Jeszcze trochę i mógłby, odziany w szlafrok, rozmawiać z MacLuhanem o galaktyce Gutenberga!

## Dzień przy telefonie

Około dziesiątej rano, kiedy Albert Lebrun, prezydent Republiki Francuskiej, podpisuje właśnie dekret o przyznaniu certyfikatu winom z okolic Juliénas (sławetny dekret z 11 marca 1938 roku) i zastanawia się, w miarę jak jego wzrok ześlizguje się coraz niżej po skrzydle okiennym gabinetu, czy wina z Émeringes i Pruzilly rzeczywiście zasługują na to wyróżnienie, a tymczasem pada deszcz i kropelki uderzają w szyby jak utwór wystukiwany na pianinie palcami początkującego muzyka – rozmyśla Albert Lebrun w przypływie poetyckiej weny – kiedy odkłada dekret na olbrzymi stos, istny śmietnik! i sięga po kolejny, określający budżet państwowej loterii na najbliższy okres – jest to chyba już piąty czy szósty, który podpisuje od czasu, kiedy objął władzę, ponieważ niektóre dekrety powracają, jak jerzyki zakładające gniazda na wielkich drzewach nad Sekwaną, i co roku trafiają na jego biurko – kiedy zatem Albert Lebrun, pogrążony w marzeniach, tkwi odcięty od świata pod swoim abażurem, w tym samym momencie w Wiedniu kanclerz Schuschnigg odbiera wiadomość o ultimatum Hitlera. Albo wycofa projekt plebiscytu, albo Niemcy wkroczą do Austrii. Wszelka dyskusja jest wykluczona. Skończył się sen o cnocie, trzeba teraz zetrzeć szminkę i zdjąć kostium. Mijają cztery ciągnące się bez końca godziny. O drugiej, postawiwszy krzyżyk na obiedzie, Schuschnigg odwołuje wreszcie plebiscyt. Uff. Wszystko będzie się dalej mogło toczyć jak dawniej: spacery nad Dunajem, błahe pogawędki, ciastka z Café Demel albo od Sachera.

Ale nic z tego. Potwór jest bardziej łakomy niż kanclerz. Domaga się teraz dymisji Schuschnigga i mianowania na jego miejsce kanclerzem Austrii Seyss-Inquarta. Ni mniej, ni więcej. „Co za koszmar, więc to się nigdy nie skończy!”. Kiedy Schuschnigg jako młody człowiek przebywał w czasie pierwszej wojny w niewoli u Włochów, powinien był czytać zamiast romansów artykuły Gramsciego; natrafiłby wówczas na takie słowa: „Kiedy dyskutujesz z przeciwnikiem, postaraj się wejść w jego skórę”. Nigdy jednak nie wszedł w niczyją skórę, co najwyżej przebrał się

w strój Dolfussa po tym, jak mu się przez kilka lat podlizywał. Postawić się na czyimś miejscu? Nie ma pojęcia, do czego miałoby to służyć! Nie wchodził w skórę pałowanych robotników, aresztowanych związkowców, torturowanych demokratów; tego by tylko brakowało, żeby teraz wchodził w skórę potworów! Waha się. To ostatnia minuta jego ostatniej godziny. A potem jak zwykle kapituluje. On, siła i religia, on, porządek i władza, godzi się oto na wszystko, o co go proszą. Wystarczy, żeby prośba nie była grzeczna. Stanowczo powiedział „nie" wolnościom socjaldemokratów. Odważnie powiedział „nie" wolności prasy. Powiedział „nie" utrzymaniu wybieralnego parlamentu. Powiedział „nie" prawu do strajku, „nie" zgromadzeniom, „nie" istnieniu partii innych niż jego własna. A przecież tego samego człowieka zatrudni po wojnie jako wykładowcę nauk politycznych czcigodny uniwersytet Saint Louis w stanie Missouri. Jasne, że trochę się znał na naukach politycznych – on, który potrafił powiedzieć „nie" wszelkim wolnościom politycznym. A zatem po krótkiej minucie wahania – w chwili, gdy do urzędu kanclerskiego wdziera się zgraja nazistów – nieustępliwy Schuschnigg, człowiek, który zawsze mówił „nie", negacja wcielona w dyktatora, zwraca się w stronę Niemiec i z rumieńcem na twarzy, z wilgotnymi oczyma, zdławionym głosem wypowiada słabe „tak".

„Cóż! Nie można było zrobić nic innego" – wyznaje w swoich pamiętnikach. Każdy się pociesza, jak umie. Udaje się zatem do pałacu prezydenckiego z uczuciem głębokiej ulgi, obolały, lecz uspokojony. Składa dymisję na ręce prezydenta republiki, Wilhelma Miklasa. Tu jednak spotyka go niespodzianka: oto Miklas, syn urzędnika pocztowego, Miklas, którego pozostawiono na stanowisku prezydenta wyłącznie na pokaz, który miał dostarczać uwierzytelnienia i ograniczał się zwykle do tego, by stać grzecznie u boku Dolfussa, a potem Schuschnigga podczas uroczystości państwowych, oto zatem ten niezguła Miklas nie przyjmuje jego dymisji. Do diaska! Dzwonią do Göringa. Göring ma już po uszy tych idiotów Austriaków! Chciałby wreszcie mieć święty spokój! Ale Hitler jest innego zdania: Miklas musi przyjąć dymisję, wrzeszczy kanclerz Rzeszy, trzymając w obu dłoniach słuchawki telefoniczne; to konieczne. Ciekawe, że najsrożsi tyrani do samego końca zachowują pozory przestrzegania form, tak jakby chcieli sprawiać wrażenie, że nie łamią procedur, mimo że

otwarcie mają za nic wszelkie przyjęte zasady. Zupełnie jakby własna siła im nie wystarczała i czerpali dodatkową przyjemność ze zmuszania przeciwników do odprawiania po raz ostatni rytuałów władzy, której ich pozbawiają.

Jakiż ten dzień 11 marca jest długi! Tik-tak, tik-tak, wskazówka zegara nad biurkiem Miklasa niewzruszenie wykonuje swoją mikroskopijną pracę, niczym toczący drewno kołatek. Miklas nie ma duszy wojownika, bez słowa protestu pozwolił, by Dolfuss ustanowił w Austrii swoją mizerną dyktaturę, a sam zachował urząd prezydenta. Wieść niesie, że w prywatnych rozmowach Miklas wypowiadał się krytycznie na temat łamania konstytucji – też mi odwaga! A jednak osobliwy człowiek z tego Miklasa, bo w najstraszniejszej chwili, około drugiej po południu 11 marca, kiedy wszystkich zaczyna ogarniać blady strach, kiedy Schuschnigg powtarza do znudzenia „tak, tak, tak", wtedy właśnie Miklas mówi „nie". I nie mówi tego trzem związkowcom, dwóm redaktorom naczelnym, plutonowi potulnych posłów partii socjaldemokratycznej: mówi „nie" Adolfowi Hitlerowi. Zabawny człowieczek z tego Miklasa. On, dotychczas taki bezbarwny, zwykła marionetka, prezydent spoczywającej od pięciu lat w grobie republiki, teraz staje okoniem. Facet z wielką czachą dygnitarza, z tą swoją laseczką, garniturem, melonikiem i zegarkiem z dewizką nie potrafi już dalej mówić „tak". Nigdy nie można mieć pewności co do nikogo: mizerny człeczyna może nagle gdzieś w samej głębi swojego jestestwa odnaleźć absurdalny opór, zadrę, kolec. I oto okazuje się, że jegomość pozbawiony na pozór szlachetnych zasad, gamoń bez ambicji zaczyna się stawiać. Och, niezbyt długo, ale mimo wszystko. Dla Miklasa ten dzień nieprędko się skończy.

Początkowo, po wielogodzinnych naciskach, prezydent wreszcie ustępuje. Naziści oddychają z ulgą; chociaż rozjeżdżają czołgami czerwone dywany, koniecznie chcą mieć zgodę Miklasa. „Tak, Schuschnigg może ustąpić ze stanowiska, w porządku, nie będę się temu sprzeciwiał". Zaskakująca palinodia. Tyle tylko że tuż po tym, jak około dziewiętnastej trzydzieści prezydent wyraża przyzwolenie, tuż po tym, jak Schuschnigg schodzi ze sceny Historii, kiedy uspokojeni naziści szykują się do otwarcia szampana z okazji intronizacji Seyss-Inquarta, o dziewiętnastej trzydzieści jeden poczciwy Miklas przytrzymuje któregoś za rękaw, łapie

któregoś za guzik, by powiedzieć, że wprawdzie zezwolił na dymisję tego głąba Schuschnigga, ale kategorycznie odmawia mianowania Seyss-Inquarta.

Jest już dobrze po ósmej. I wtedy Niemcy – którzy, jak to określają podręczniki historii, za wszelką cenę chcieli zachować pozory, by nie zrazić wspólnoty międzynarodowej (która oczywiście niczego się nie domyślała) – znużeni wywieraniem presji na Miklasa, postanawiają dać sobie spokój. Nie szkodzi, że Seyss-Inquart nie jest jeszcze kanclerzem, wykorzysta się go jako ministra spraw wewnętrznych. Po to, by można było wydać Wehrmachtowi rozkaz przekroczenia granicy austriackiej, nie sprawiając zanadto wrażenia, że przekracza się prawo, Niemcy proszą Seyss-Inquarta, by zechciał ich zaprosić do swojego pięknego kraju i aby uczynił to szybko i oficjalnie. Cóż! jest oczywiście tylko ministrem, ale skoro prezydent Miklas nie chce go mianować kanclerzem, trzeba trochę nagiąć protokół. Nikt nie przeczy, że należy ściśle przestrzegać ustaw konstytucyjnych, ale okoliczności naglą, jest to sprawa najwyższej wagi.

Zaczyna się więc oczekiwanie na wiadomość od Seyss-Inquarta, na krótki telegram, w którym poprosi on nazistów, by wspomogli go zbrojnym ramieniem. Jest wpół do dziewiątej, nic się nie dzieje. Szampan wietrzeje w kieliszkach. Na litość boską, co ten Seyss-Inquart wyprawia? Spodziewano się, że wszystko pójdzie szybko, że minister natychmiast napisze swoją króciutką depeszę i wreszcie będzie można pójść na kolację. Hitler nie posiada się z wściekłości, czeka od wielu godzin! i pewnie od wielu lat! W końcu puszczają mu nerwy i dokładnie za kwadrans dziewiąta wydaje rozkaz zajęcia Austrii. Do diabła z zaproszeniem od Seyss-Inquarta. Obejdą się bez niego! Do diabła z prawem, do diabła z deklaracjami, konstytucjami i umowami, do diabła z ustawami, z tym normatywnym i abstrakcyjnym, ogólnym i bezosobowym robactwem, nałożnicami Hammurabiego, tymi wywłokami, które – jak powiadają – wszystkich traktują tak samo! Czy fakt dokonany nie jest najsolidniejszym prawem? Niemcy wkroczą do Austrii bez niczyjego pozwolenia i uczynią to z miłości.

Mimo wszystko jednak zaraz po tym, jak padł sygnał do najazdu, pojawia się sugestia, że byłoby pewniej mieć formalne zaproszenie. Powstaje telegram, taki, jaki chcieliby otrzymać; w miłości bywa i tak, że

niektórzy zadowalają się dyktowaniem swoim lubym liścików, o jakich marzą. Trzy minuty później Seyss-Inquart otrzymuje więc treść wiadomości, którą ma wysłać Adolfowi Hitlerowi. W ten finezyjny sposób telegram zadziałałby wstecz, dokonując magicznej przemiany najazdu w zaproszenie. Chleb musi stać się ciałem. Wino musi stać się krwią. A tu kolejna niespodzianka: niezmiernie usłużny Seyss-Inquart okazuje się niezupełnie gotów sprzedać skórę Austrii. Mijają minuty, telegram nie nadchodzi.

Wreszcie u kresu tej długiej zabawy w ciuciubabkę, u kresu sił stary Miklas wzrusza masywnymi ramionami i czując zapewne duży niesmak, około północy, po tym, jak naziści zajęli główne ośrodki władzy, podczas gdy Seyss-Inquart nadal uparcie odmawia parafowania telegramu, gdy Wiedeń staje się areną szaleństwa, krwawych podżegaczy, pożarów, wrzawy, wleczenia za włosy Żydów po ulicach usianych tłuczonym szkłem; gdy wielkie demokracje zachowują się, jakby niczego nie widziały, gdy Anglia jest już w łóżku i spokojnie pochrapuje, gdy Francja śni o niebieskich migdałach, gdy wszystkich naokoło obchodzi to tyle, co zeszłoroczny śnieg, otóż wówczas stary Miklas wbrew samemu sobie mianuje w końcu nazistę Seyss-Inquarta kanclerzem Austrii. Wielkie katastrofy nadchodzą często drobnymi kroczkami.

## Pożegnalny obiad przy Downing Street

Nazajutrz Ribbentrop zjawił się u Chamberlaina na pożegnalnym obiedzie. Po wieloletnim pobycie w Anglii ambasador Rzeszy otrzymał awans. Był obecnie ministrem spraw zagranicznych. Wrócił więc na kilka dni do Londynu, by się pożegnać i oddać klucze. Podobno bowiem Chamberlain, który był właścicielem kilku mieszkań, wynajmował przed wojną jedno z nich Ribbentropowi. Ten banalny fakt, osobliwy kontrast między wizerunkiem a człowiekiem, umowa najmu, na mocy której Neville Chamberlain, zwany dalej wynajmującym, zobowiązywał się w zamian za określoną opłatę, „czynsz", zapewnić Joachimowi von Ribbentropowi korzystanie bez żadnych przeszkód ze swojego domu przy Eaton Square, nie dał nigdy nikomu w najmniejszym stopniu do myślenia. W tym samym czasie, kiedy nadchodziły niepomyślne wiadomości, kiedy padały ciosy poniżej pasa, Chamberlain regularnie odbierał czynsz. Ale interes musi się przecież kręcić. Nikt więc nie dostrzegł w tym jakiejkolwiek nieprawidłowości, nie przypisywano temu okruchowi prawa rzymskiego najmniejszego znaczenia, zupełnie nic. Byle mizeraka odpowiadającego przed sądem za kradzież oskarża się o całą serię wcześniejszych wykroczeń, fakty stają się nagle nadzwyczaj wymowne. Kiedy jednak fakty dotyczą Chamberlaina, należy zachować rozwagę. Trzeba postępować oględnie, jego polityka ustępstw była pożałowania godną omyłką, a działalność na rynku najmu nieruchomości figuruje w annałach Historii w króciutkim przypisie u dołu strony.

Pierwsza część posiłku upłynęła wszystkim w znakomitym nastroju. Ribbentrop zaczął opowiadać o swoich wyczynach sportowych, potem, po kilku żartach pod swoim własnym adresem, przeszedł do zachwalania zalet tenisa. Sir Alexander Cadogan słuchał go uprzejmie. Ribbentrop rozwodził się najpierw przez dłuższą chwilę nad zagrywką i nad maleńką kauczukową planetą pokrytą białym filcem, piłeczką, której żywot trwa bardzo krótko, mówił z naciskiem, jeszcze krócej niż mecz! Następnie przypomniał słynnego Wielkiego Billa Tildena, który serwował jak półbóg –

ciągnął Ribbentrop – i królował niepodzielnie w tenisie lat dwudziestych, tak jak już nigdy nikomu się to nie uda. W ciągu pięciu lat Tilden nie przegrał ani jednego meczu i siedem razy z rzędu zdobył Puchar Davisa. Specjalizował się w serwisie zwanym wówczas kulą armatnią, miał budowę fizyczną idealnie dostosowaną do tej cudownej umiejętności: był wysoki, chudy, szeroki w ramionach, z olbrzymimi dłońmi. Ribbentrop ubarwiał swoją niestrudzoną gadaninę frapującymi anegdotami i ciekawostkami: oto na samym początku najliczniejszej serii zwycięstw Tildenowi amputowano kawałek palca – zawadził niefortunnie o ogrodzenie. Po operacji grał jeszcze lepiej, jakby ten koniuszek palca był błędem doboru naturalnego, naprawionym za pomocą nowoczesnej chirurgii. Tilden był jednak przede wszystkim strategiem – oznajmił Ribbentrop, ocierając wargi serwetką – a jego książka *Sztuka tenisa na trawie* to kopalnia rozważań o tej dyscyplinie sportu, tak jak książka Owidiusza o sztuce miłości. Ale co najważniejsze – i co ten, którego koledzy z czasów młodości nazywali przyjacielsko Ribbensnobem, uważał za kwintesencję ludzkiego istnienia – Tilden był swobodny, cudownie swobodny. I elegancki, jego bekhend wyglądał jak ukłon. Na korcie Tilden był wszakże monarchą absolutnym, nikt nie mógł go pokonać, i nawet zwycięstwa jego przeciwników, kiedy przekroczył czterdziestkę, nie odebrały mu pierwszego miejsca, tego, które majestatyczny styl przyznawał mu we wszystkich rozgrywanych przezeń meczach. Następnie Ribbentrop opowiedział trochę o sobie, o własnej grze. Prawdę mówiąc sir Cadogana straszliwie nudziły te opowieści o tenisie i uśmiechał się tylko grzecznie, słuchając ministra Rzeszy. Pani Chamberlain również dała się schwytać w pułapkę już na samym początku obiadu i uprzejmie znosiła ten potok wymowy. Ribbentrop wspominał teraz swój pobyt w Kanadzie za młodych lat, kiedy ubrany w białą koszulę i białe spodnie, znęcając się na kortach nad swoimi mokasynami, zagrywał asy niemal na każde zawołanie. Posunął się nawet do tego, że wstał, by zamarkować lob, i byłby przewrócił kieliszek, lecz złapał go w porę i uznano to za żart. Przez jakiś czas znów mówił o Tildenie, o dwunastu tysiącach osób, które przyszły oglądać jego grę około roku 1920, co na tamte czasy było absolutnym rekordem i do dziś pozostaje zdumiewającą liczbą. Przede wszystkim jednak Tilden pozostał *number one,* powtórzył kilkakrotnie Ribbentrop, pozostał *number one* przez długie lata. Dzięki Bogu pojawiło się główne danie.

Jako przystawkę podano przedtem mrożone melony charentais i Ribbentrop pochłonął swoją porcję, nie zwracając najmniejszej uwagi na smak. Daniem głównym była pularda burgundzka à la Lucien Tendret. Churchill wygłosił komplement i chcąc być może zakpić sobie z Ribbentropa i podroczyć się z Cadoganem, znów zagadnął ministra Rzeszy o tenis. Czy ten Bill Tilden nie był przypadkiem aktorem na Broadwayu i autorem dwóch okropnych powieści, z których jedna nosiła tytuł *Szosa-widmo*, a druga *Tchórzliwy cios* albo coś w tym rodzaju? Ribbentrop nic o tym nie wiedział. Nie wiedział zresztą wielu rzeczy na temat Tildena.

Obiad trwał w najlepsze. Ambasador Rzeszy wyglądał na całkowicie rozluźnionego. Zwrócił zresztą na siebie niegdyś uwagę Adolfa Hitlera swobodą towarzyską, elegancją *old fashion* i uprzejmością, wyróżniającą się na tle tego, czym była partia nazistowska, zbiorowisko bandytów i kryminalistów. Majestatyczny sposób bycia wraz z kryjącą się pod nim bezwarunkową służalczością wyniosły go na urząd ministra spraw zagranicznych, urząd, którego wielu mu zazdrościło; w owej chwili – 12 marca 1938 roku na Downing Street – osiągnął szczyt tego, co życie miało mu do zaoferowania. Zaczął karierę zawodową jako importer szampana firm Mumm i Pommery, a Hitler wysłał go do Anglii, by lobbował na rzecz Trzeciej Rzeszy, sondował serca i zbierał tu i ówdzie okruchy informacji. Podczas całego tego niespokojnego okresu Ribbentrop nieustannie zapewniał Hitlera, że Anglicy nie są zdolni do jakiejkolwiek reakcji. Zachęcał Führera do podejmowania najzuchwalszych przedsięwzięć, podsycając jego megalomańskie i agresywne skłonności. Oto jak wspinał się na kolejne szczeble nazistowskiej chwały ten, o którym Hitler za plecami mówił czasem „handlarz szampanem", tak silne bowiem są przesądy nawet pośród największych niszczycieli społecznego ładu.

W połowie obiadu, jak opowiada Churchill w swoich pamiętnikach, wprowadzono posłańca z Foreign Office. Być może biesiadnicy właśnie dzielili się ostatnim udkiem pulardy, chyba że podano już ptifurki serowe i lemoniadę, a może delektowali się tartą z shionem: dwieście gramów mąki, sto gramów masła, jedno albo dwa jajka, szczypta soli, trochę cukru, ćwierć litra mleka, kasza manna i woda, żeby to wszystko rozrobić.

Oszczędzę państwu szczegółów przybrania i pieczenia. Trzeba wiedzieć, że na Downing Street często przyrządzano dania według przepisów francuskich; premier Neville Chamberlain był na nie bardzo łasy. Poza tym dlaczego nie mielibyśmy się zajmować kuchnią? Podobno senat rzymski obradował kiedyś przez dwie godziny nad sposobem przyrządzenia flądry. A zatem między dwoma brzęknięciami widelca posłaniec z Foreign Office dyskretnie wręczył sir Cadoganowi kopertę. Zapadła niezręczna cisza. Sir Cadogan czytał najwyraźniej z wielką uwagą. Powoli podjęto na nowo rozmowy. Ribbentrop zachowywał się, jakby się nic nie wydarzyło; szepnął pani domu parę komplementów. W tym momencie Cadogan wstał i przekazał notatkę Chamberlainowi. Cadogan nie wyglądał ani na zaskoczonego, ani na zmartwionego tym, co przed chwilą przeczytał. Myślał. Teraz z wyrazem skupienia na twarzy przeczytał notatkę Chamberlain. Tymczasem Ribbentrop ciągnął dalej swoje dyrdymały. Podano właśnie deser, poziomki kardynalskie przyrządzone tak, jak robił to Escoffier. Istne delicje. Rzucono się na nie z zapałem i Cadogan wrócił na swoje miejsce, zabierając z powrotem notatkę. Churchill jednak, otworzywszy szeroko jedno ze swoich okrągłych oczu cocker-spaniela i zwróciwszy je na Chamberlaina, zauważył na jego czole groźną pionową zmarszczkę, z czego wywnioskował, że nadeszła jakaś ważna wiadomość. Co do Ribbentropa, ten nie dostrzegał niczego. Doskonale się bawił, zapewne pochłonięty radością z obecnej swojej funkcji ministra. Na znak dany przez panią Chamberlain goście przeszli do salonu.

Podano kawę. Ribbentrop zaczął teraz mówić po francusku, w czym celował, i przez dłuższą chwilę podtrzymywał w ten sposób zamierającą rozmowę. Dla zilustrowania sam już nie wiem jakiej opowieści schwycił niewidzialny kieliszek ustawiony na niewidzialnej szklanej piramidzie i wzniósł kwiecisty toast. Niewidzialny kieliszek był chłodny, niewidzialny szampan miał sześć stopni, idealną temperaturę. Deserowy nożyk stuka o kieliszek; Ribbentrop skłania głowę, uśmiecha się. Na dworze drzewa są zmoczone po deszczu, na chodnikach błyszczą kałuże.

Państwo Chamberlainowie okazują niecierpliwość, ale bardzo uprzejmie. Nie można skrócić przyjęcia tej rangi, obiadu z udziałem ministra mocarstwa europejskiego. Należy postępować taktownie, znaleźć okazję, by się oddalić. Wkrótce również i goście poczuli zapewne, że coś się

dzieje i że między Chamberlainem a jego żoną toczy się zakamuflowana rozmowa, do której przyłącza się coraz więcej uczestników: Cadogan, Churchill z małżonką oraz kilka innych osób. Wówczas pierwsza fala gości pożegnała się z gospodarzami. Ribbentropowie jednak nie wychodzili, nieświadomi skrępowania, zwłaszcza on, najwyraźniej upojony tym pożegnalnym dniem, który mu odebrał elementarne poczucie taktu. Niecierpliwiono się coraz bardziej; nadal bardzo grzecznie, niczego po sobie nie pokazując. Nie można było wszak wyrzucić za drzwi honorowego gościa; powinien sam zrozumieć, że nadeszła chwila, by opuścić salon, narzucić na siebie płaszcz i wsiąść do wielkiego mercedesa oznaczonego swastykami.

Ribbentrop jednak nic, ale to kompletnie nic nie rozumiał; paplał jak najęty. Jego żona również nawiązała chwilę wcześniej z panią Chamberlain ożywioną rozmowę. Atmosfera była coraz bardziej oderwana od rzeczywistości: gospodarze okazujący za pomocą bardzo delikatnej modulacji głosu ledwo wyczuwalne zniecierpliwienie, które jednak prawdziwie dobre wychowanie powinno było odczytać. W tego rodzaju chwilach zastanawiamy się, czyśmy zwariowali, czy może mamy zbyt wiele skrupułów; czy druga strona czuje skrępowanie, które wydaje się nam namacalne; ale nie, zupełnie nic. Mózg jest organem całkowicie szczelnym. Oczy nie zdradzają myśli, niedostrzegalna mimika jest dla innych nieczytelna; zupełnie jakby całe ciało było poematem, który nas rozpłomienia, a z którego nasi sąsiedzi nie rozumieją ani słowa.

Nagle, zebrawszy się w sobie, Chamberlain odezwał się do Ribbentropa: „Zechce pan wybaczyć, ale wzywają mnie pilne sprawy". Było to dość obcesowe, ale nie znalazł innego sposobu, by mu przerwać. Goście wstali, większość pożegnała się z gospodarzami i opuściła Downing Street. Ribbentropowie zostali jednak z tymi, którzy nie wyszli. Rozmowa trwała jeszcze dłuższą chwilę. Nikt nie wspomniał o notatce, którą Cadogan i Chamberlain przeczytali przy obiedzie i która unosiła się między nimi jak papierowy duszek: o tej nieznanej kwestii, którą wszyscy chcieliby usłyszeć i która była w istocie prawdziwym tekstem tego osobliwego wodewilu. Wreszcie wszyscy udali się do domów, uprzednio jednak Ribbentrop wyczerpał cały swój zasób niestrawnych światowych anegdotek. Były aktor

teatru amatorskiego odgrywał bowiem właśnie na wielkiej scenie Historii jedną ze swoich tajnych ról. Były łyżwiarz figurowy, gracz w golfa, skrzypek, czegóż ten Ribbentrop nie umie! Wszystko! Nawet przedłużać w nieskończoność oficjalny obiad. Doprawdy, niezły był z niego dowcipniś, dziwne skrzyżowanie ignorancji i wyrafinowania. Podobno robił okropne błędy składniowe; a von Neurath, przez którego ręce przechodziły memoranda sporządzane osobiście przez Ribbentropa na użytek Führera, wystrzegał się dokonywania poprawek, by zaszkodzić ministrowi.

W końcu wyszli ostatni goście i Ribbentropowie wreszcie się wynieśli. Szofer otworzył przed nimi drzwiczki. Pani Ribbentrop leciutko podciągnęła suknię i wsiedli do samochodu. Nastąpił wówczas szczery wybuch wesołości. Ribbentropowie śmiali się z psikusa, jaki wszystkim spłatali. Doskonale zdawali sobie sprawę, że od chwili, gdy wysłannik Foreign Office przyniósł notatkę, Chamberlain wyglądał na zaniepokojonego, ogromnie zaniepokojonego. Ponadto oczywiście oboje dokładnie wiedzieli, co zawiera notatka, i postawili sobie za zadanie zrobić wszystko, by Chamberlain i jego współpracownicy stracili jak najwięcej czasu. Przeciągali więc obiad, następnie kawę, a potem rozmowy w salonie do granic rozsądku. Przez cały ten czas Chamberlain nie mógł się zająć najpilniejszymi sprawami, zajęty pogawędką o tenisie i chrupaniem makaroników. Wykorzystując jego nadmierną uprzejmość, niemal chorobliwą, skoro usunęła na bok nawet rację stanu, Ribbentropowie bardzo zręcznie odciągnęli Chamberlaina od jego obowiązków. Notatka przyniesiona przez pracownika Foreign Office, której treść pozostawała tajemnicą podczas całego ciągnącego się bez końca obiadu, zawierała straszliwą wiadomość: wojska niemieckie wkroczyły do Austrii.

## *BLITZKRIEG*

Przez całe przedpołudnie 12 marca Austriacy czekali niecierpliwie na przybycie nazistów, nieprzyzwoicie rozradowani. Na wielu ówczesnych filmach widać ludzi sięgających ponad ladą kiosku, wyciągających ręce do handlarza stojącego przy furgonetce z towarem po proporczyk ze swastyką. Wszędzie wspinają się na palce, wdrapują na gzymsy, ogrodzenia, na latarnie, żeby tylko móc z o b a c z y ć. Ale Niemcy każą na siebie czekać. Minął poranek… potem upłynęło dziwne popołudnie; co pewien czas nad polami niósł się ryk silników, powiewały flagi, na twarzach rozkwitały uśmiechy; ze wszystkich stron dochodziła wrzawa: „Idą! Idą!". Wytrzeszczone oczy wpatrywały się w asfalt… i nic. Czekano jeszcze chwilę, a potem napięcie mijało, ramiona opadały i kwadrans później wszyscy byli już z powrotem na ziemi, rozprawiali, przykucnięci na trawie.

Na wieczór 12 marca wiedeńscy naziści zaplanowali marsz z pochodniami, by przywitać Adolfa Hitlera. Uroczystość miała być wzruszająca i podniosła. Czekano do późnych godzin, nikt nie przybył. Ludzie nie rozumieli, co się dzieje. Pili piwo i śpiewali, śpiewali, lecz wkrótce stracili ochotę na śpiew, czuli się trochę zawiedzeni. Kiedy więc pojawiło się trzech żołnierzy niemieckich, którzy przyjechali do miasta pociągiem, wszystkich ogarnął entuzjazm. Żołnierze niemieccy? Cudowna wiadomość! Byli gośćmi całego miasta; nikt ich nigdy tak nie kochał jak wiedeńczycy tamtego pamiętnego dnia! Wiedeń! Ofiarowano im wszystkie czekoladki stolicy, wszystkie gałęzie świerkowe, całą wodę Dunaju, wszystkie wiatry z Karpat, Ring, pałac Schönbrunn i jego chiński salonik, sypialnię Napoleona, zwłoki króla Rzymu, szablę spod Piramid! Wszystko! Było to wszakże tylko trzech żołnierzyków z kwatermistrzostwa. Oczekiwano jednak inwazji z taką niecierpliwością, że obnoszono ich tryumfalnie po całym mieście. A trzej nieboracy nie za bardzo rozumieli, dlaczego wzbudzają taki entuzjazm. Nie wiedzieli, że tak ich tu kochają. Trochę się nawet przestraszyli… Miłość bywa czasem przerażająca. Ludzie

zaczynali się jednak temu wszystkiemu dziwić. Gdzie jest niemiecka machina wojenna? – zapytywali samych siebie. Co robią czołgi? Samochody pancerne? I wszystkie te baśniowe bestie, które nam obiecano? Gdzie się podziewają? Czyżby Führer nie chciał już swojej rodzinnej Austrii? Nie, nic z tych rzeczy, tyle że… w tłumie zaczęła krążyć pewna pogłoska, chociaż trochę się obawiano mówić za głośno. Trzeba się było mimo wszystko wystrzegać nazistów, którzy pilnie nadstawiali uszu… Opowiadano sobie – ludzie nie byli pewni, ale sytuacja potwierdzała plotki – że przekroczywszy z niesłychanym impetem granicę, legendarna niemiecka machina wojenna najzwyczajniej w świecie się zacięła.

W istocie przekroczenie granicy przyszło armii niemieckiej z największym trudem. Odbywało się to w niewiarygodnym chaosie, zatrważająco powoli. Teraz wojsko utknęło pod Linzem, niespełna sto kilometrów dalej. A przecież 12 marca była podobno bardzo piękna pogoda, jakby na zamówienie.

Wszystko tak się dobrze zaczęło! O dziewiątej podnoszą szlaban i hop-siup! już są w Austrii! Obeszło się bez przemocy, bez gromów, tu panuje wzajemna miłość, podbój odbywa się bez wysiłku, łagodnie, z uśmiechem. Czołgi, ciężarówki, ciężka artyleria, cały majdan posuwa się powoli w kierunku Wiednia na wielkie weselne gody. Oblubienica wyraża zgodę; wbrew temu, co niektórzy utrzymywali, nie jest to wcale gwałt, lecz zaślubiny. Austriacy zdzierają sobie gardła, na powitanie wykonują najlepiej jak potrafią nazistowski salut; ćwiczyli się w nim od pięciu lat. Droga do Linzu jest jednak trudna, samochody rzężą, motocykle krztuszą się jak glebogryzarki. Tak, Niemcy powinni byli raczej zająć się ogrodnictwem, zrobić sobie wycieczkę po Austrii, a potem wrócić grzecznie do Berlina, przerobić cały ten sprzęt na traktory i wziąć się do sadzenia kapusty w parku Tiergarten. Bo w okolicach Linzu wszystko się psuje. A przecież niebo jest niepokalanie czyste, pogodne, najpiękniejsze z możliwych.

Według horoskopu 12 marca miał być nadzwyczaj pomyślny dla Wag, Raków i Skorpionów. Dla reszty ludzkości natomiast niebo szykowało same nieszczęścia. Demokracje europejskie przeciwstawiły inwazji podszyte fascynacją przyzwolenie. Anglicy, którzy wiedzieli, co ma wkrótce

nastąpić, uprzedzili Schuschnigga. Poza tym nie zrobili nic. Francuzi natomiast nie mieli rządu, kryzys nastąpił w idealnym momencie.

Rano 12 marca w całym Wiedniu tylko redaktor naczelny „Neues Wiener Tagblatt", Emil Löbl, opublikował artykuł żegnający dyktatorka Schuschnigga, co było dość mizernym aktem oporu i właściwie niemal jedynym. Przed południem do budynku gazety wdarła się uzbrojona banda i zmusiła Löbla do opuszczenia lokalu. Bojówkarze SA wbiegali do pomieszczeń redakcyjnych i rzucali się na pracowników administracyjnych, dziennikarzy, korektorów. A przecież „Neues Wiener" to żadni lewacy, nie odezwali się ani słowem, kiedy parlament rozpłynął się w nicość, roztropnie zaaprobowali autorytarny katolicyzm nowej władzy, bez protestu przyjmowali czystki w redakcjach za Dolfussa; nie przejęli się również zbytnio odejściem socjaldemokratów, więzionych, wyrzucanych z pracy z wilczym biletem. Heroizm jednak to rzecz względna i osobliwa; w ostatecznym rozrachunku świadomość, że tego poranka Emil Löbl był jedynym niezadowolonym, budzi zarazem wzruszenie i niepokój.

Nie inaczej działo się w Linzu. Wcześniej przeprowadzono tam odrażające czystki i miasto było obecnie w pełni nazistowskie. Wszędzie śpiewano do utraty tchu, oczekując z minuty na minutę przybycia Führera. 12 marca miasto wygląda, jakby wszyscy wylegli na ulice, świeci słońce, a piwo leje się strumieniami. Tak upływa poranek, mijają godziny, w barach ludzie drzemią nad kuflami i skoro nic nie wstrzymuje czasu, nagle robi się południe, słońce stoi w zenicie nad Pöstlingbergiem. Fontanny milkną, rodziny wracają do domów na obiad, płyną fale Dunaju. Bajeczna kolekcja kaktusów w ogrodzie botanicznym jest obsypana deszczem confetti, pająki biorą je za muchy. W Wiedniu przy barze Grand Café słychać szepty, że Niemcy nie dotarli jeszcze do Wels, a może nawet są dopiero przed Meggenhofen! Złośliwcy podśmiewają się, że pomylili kierunek, że jadą do Suzy albo do Damietty, że w przyszłym roku pojawią się w Moulin Rouge. Niektórzy jednak po cichu sugerują awarię, brak paliwa, poważne problemy z zaopatrzeniem.

Hitler opuścił Monachium autem. Twarz smaga mu lodowaty wiatr, mercedes przemierza leśne ostępy. Führer chciał najpierw przejechać przez Braunau, swoje rodzinne miasto, następnie przez Linz, gdzie spędził młode lata, wreszcie przez Lending, miejsce spoczynku rodziców. Słowem,

zapowiadało się na bardzo ładną wycieczkę. Około szesnastej przekracza granicę w Braunau. Jest piękna, słoneczna pogoda, ale bardzo zimno, jego orszak składa się z dwudziestu czterech aut i blisko dwudziestu furgonetek. Nikogo nie brakuje: SS, SA, policja, wszystkie rodzaje wojsk. Przybysze bratają się z tłumem. Zatrzymują się na chwilę przed domem rodzinnym Führera, ale nie ma czasu do stracenia! Już i tak są bardzo spóźnieni. Dziewczynki wręczają bukiety, tłum macha proporczykami ze swastyką, wszystko idzie jak najlepiej. Mija popołudnie, orszak przejeżdża przez kolejne wsie, Hitler się uśmiecha, twarz mu promienieje; co chwila wyciąga rękę w nazistowskim salucie, pozdrawiając grupki wieśniaków i dziewcząt. Najczęściej jednak salut ogranicza się do owego dziwnego gestu, tak udatnie sparodiowanego przez Chaplina: Hitler zgina ramię i unosi je w niedbały, nieco kobiecy sposób.

## CZOŁGI TKWIĄCE W KORKU

*Blitzkrieg* to zwykła nazwa, etykieta, którą spece od reklamy opatrzyli katastrofę. Teoretyk tej agresywnej strategii nazywał się Guderian. W książce o zwięzłym i przemawiającym do wyobraźni tytule *Achtung – Panzer!* Guderian przedstawił teorię wojny błyskawicznej. Czytał oczywiście Johna Fredericka Charlesa Fullera; podobało mu się nadzwyczajnie jego kiepskie dziełko o jodze, z wypiekami na twarzy pochłaniał jego szalone proroctwa, wierząc, że kryje się w nich klucz do straszliwej tajemnicy świata; przede wszystkim jednak o niezliczone bezsenne noce przyprawiły go artykuły Fullera na temat mechanizacji armii. Przetrawiał bez końca elaboraty Fullera, podziwiał tę entuzjastyczną wizję bohaterskiej i brutalnej wojny. John Frederick Charles Fuller był bowiem entuzjastą siły, i to tak gorącym, że później przyłączył się do Mosleya, ubolewając nad nieudolnością demokracji parlamentarnych i tęskniąc do ustroju bardziej inspirującego do czynu. Dlatego też wstąpił do Nordic League, organizacji propagującej narodowy socjalizm. Niewielkie grono spotykało się potajemnie w stuprocentowo angielskich chatkach i spędzało długie godziny na gawędach o Żydach. Ich sympatykami byli jednak nie tylko kupcy z Mayfair, o nie, należała do nich również lady Douglas-Hamilton, która nad wyraz kochała zwierzęta; wiadomo wszak, że źródłem wszystkich nieszczęść jest ludzka dusza. Zaliczał się do nich również poczciwy Arthur Wellesley, książę Wellington, pieszczoszek salonów, absolwent Eton, pędzący życie usłane różami, a zatem nie mający nic na swoje usprawiedliwienie; znawca Propercjusza i Lukiana, który przechadzał się pewnie o poranku, grając na fujarce, po parku wokół swojego dworu, wśród pasterzy Teokryta; kolekcjoner dzieł sztuki, może nie najlepszych, ale mimo wszystko. Przy tym jednak człowiek o ciasnym umyśle, zagubionym wzroku i obwisłej dolnej wardze, gdyby się więc był urodził na przedmieściu Londynu, nikt by o nim pewnie nigdy nie słyszał.

*Achtung – Panzer!* 12 marca 1938 roku defiladę otwierały pojazdy opancerzone; miały się wreszcie ziścić marzenia Heinza Guderiana, dowódcy XVI Korpusu. Pierwszy niemiecki model czołgu powstał w roku 1918. Wyprodukowano wówczas około dwudziestu sztuk; była to ciężka żelazna skorupa, pudło o mocy dwustu koni, wielki wózek niemowlęcy, bardzo powolny i niewygodny do prowadzenia. Jeden z nich pod koniec pierwszej wojny starł się w pojedynczej walce z czołgiem angielskim i został doszczętnie zniszczony. Od czasu tego chrztu bojowego poczyniono znaczne postępy, lecz wiele jeszcze pozostawało do zrobienia. Na przykład Panzer IV, późniejszy król pól bitewnych, owego marcowego dnia roku 1938 dopiero raczkował. Ten niewielki czołg produkowany w zakładach Kruppa był wówczas bardzo kiepskim wozem bojowym. Zbyt cienki pancerz nie chronił go przed pociskami przeciwczołgowymi, a własne działo pozwalało mu atakować wyłącznie miękkie cele. Panzer II był jeszcze mniejszy, istna puszka od sardynek; szybki, lekki, ale nie zdołałby przebić pancerza nieprzyjacielskiego czołgu, podczas gdy sam nie był odporny na pociski. Ledwo go wypuszczono z fabryki, już był przestarzały. Na początku miał zresztą służyć za model ćwiczebny, ale produkcja się opóźniła; wojna przyszła wcześniej, niż przewidywano, i włączono go do służby czynnej. Jeśli chodzi o Panzer I, był on właściwie raczej tankietką, mieścił tylko dwóch żołnierzyków siedzących bezpośrednio na metalu, niczym jogini. Był zbyt delikatny i za słabo uzbrojony, ale za to tani, niewiele droższy od traktora.

Traktat wersalski zabraniał Niemcom wytwarzania czołgów, niemieckie firmy produkowały je więc za pośrednictwem fikcyjnych przedsiębiorstw zarejestrowanych za granicą. Jak widać, inżynieria finansowa od zawsze służyła najbrudniejszym interesom. W ten sposób Niemcy – jak sobie wówczas opowiadano – zbudowały po kryjomu olbrzymią machinę wojenną. Na tę właśnie nową armię, na obietnicę, która wreszcie ujrzała światło dzienne, czekali 12 marca 1938 roku zgromadzeni tłumnie na poboczach dróg Austriacy. Pod promiennym niebem musiało więc panować lekkie rozgorączkowanie, lekki niepokój.

Wówczas właśnie między tryby wspaniałej niemieckiej machiny wojennej dostało się maleńkie ziarnko piasku. Najpierw ujrzano na skraju szosy długi rząd czołgów. Hitler, którego mercedes musiał zboczyć na lewo, popatrzył na nie z pogardą. Potem ukazały się inne pojazdy ciężkiej artylerii, unieruchomione na środku drogi; i nie pomagało trąbienie, wołanie, że trzeba przepuścić Führera, wszystko na nic, czołgi beznadziejnie utknęły. Silnik to wspaniała rzecz, jak się nad tym zastanowić; istny cud. Trochę paliwa, iskierka i hop! Ciśnienie wzrasta, popycha tłok, który powoduje obracanie się wału korbowego, i jazda! Tyle że jest to proste wyłącznie na papierze, a wystarczy, że się coś popsuje, i klops! Żeby się w tym połapać, trzeba się grzebać w paskudnym smarze, porozkręcać, poskręcać… A 12 marca 1938 roku pomimo pięknego słońca zimno było jak w psiarni, więc kiedy człowiek musiał wyciągnąć na szosie narzędzia, wcale mu nie było do śmiechu. Hitler nie posiada się z wściekłości, coś, co miało być dniem chwały, przejazd, który miał się odbyć błyskawicznie i niemal jak w transie, przemienia się w zwykły korek. Zamiast szybkości jest zator; zamiast witalności zadyszka; zamiast pędu zatkana szosa. W Altheim, w Ried, we wszystkich przydrożnych miasteczkach młodzi Austriacy czekają, a twarze sinieją im od wiatru. Niektórzy płaczą z zimna. Na wyprzedaży wielkich sław Francuzki wybierają koncert Tina Rossiego w galerii handlowej, a Amerykanki swingowanie przy przebojach Benny'ego Goodmana. Lecz Austriaczki mają gdzieś Tina Rossiego i Benny'ego Goodmana; zażyczyły sobie Adolfa Hitlera. Na skraju każdej wioski słychać więc co pewien czas okrzyk: *Der Führer kommt!*. A potem, skoro nic nie nadjeżdża, ludzie znów zaczynają rozmawiać o tym i owym.

Bo nie była to taka sobie zwykła awaria paru pojedynczych czołgów, kilka popsutych samochodzików pancernych, nie, awarii uległa olbrzymia większość wielkiej armii niemieckiej, i szosa była teraz całkowicie zablokowana. Zupełnie jak w komedii: nieprzytomny z wściekłości Führer, mechanicy biegający w tę i z powrotem po jezdni, rozkazy wykrzykiwane pospiesznie w chrapliwym i rozgorączkowanym języku Trzeciej Rzeszy. Poza tym kiedy armia pędzi z całych sił, kiedy posuwa się w pełnym słońcu z prędkością trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, wówczas człowieka zatyka z wrażenia. Ale kiedy się armia popsuje, jest do niczego.

Popsuta armia to śmiech na sali. Generał dostaje ochrzan co się zowie! Wrzaski, wyzwiska; w oczach Hitlera jest odpowiedzialny za to fiasko. Trzeba usunąć ciężkie pojazdy, odholować kilka czołgów, przepchnąć parę samochodów, by zrobić przejazd dla Führera. Hitler dotarł do Linzu dopiero po zapadnięciu zmroku.

Tymczasem w lodowatym świetle księżyca wojska niemieckie ładowały pospiesznie na platformy kolejowe tyle czołgów, ile się tylko dało. Sprowadzono pewnie z Monachium specjalistów, kolejarzy i dźwigowych. A potem pociągi powiozły czołgi, zupełnie jakby przewoziły wyposażenie cyrku. Trzeba przecież było za wszelką cenę dojechać do Wiednia na oficjalne uroczystości, na przedstawienie galowe! Musiała to być bardzo osobliwa scena: złowrogie sylwetki, pociągi jadące nocą przez całą Austrię niczym sznur karawanów, wiozące karabiny maszynowe i wozy pancerne.

## PODSŁUCHANE ROZMOWY

13 marca, dzień po Anschlussie, tajne służby brytyjskie podsłuchały osobliwą komedię telefoniczną odegraną między Anglią a Niemcami. „Panie Ribbentrop – skarżył się Göring, który przejął ster Rzeszy, gdy Hitler leciał na skrzydłach do swojej ojczyzny – cała ta afera z ultimatum, którym jakoby zagroziliśmy Austrii, jest obrzydliwym kłamstwem. Seyss-Inquart, wyniesiony do władzy wolą ludu, prosi nas o pomoc. Gdyby pan wiedział, jak brutalne były rządy Schuschnigga!". A na to Ribbentrop: „To niesłychane! Cały świat musi się o tym dowiedzieć". Rozmowa toczyła się dalej w tym duchu przez dobre pół godziny. Wyobraźmy sobie, jakie miny mieli ci, którzy zapisywali te dziwne zdania i którym się pewnie wydawało, że nagle znaleźli się za kulisami teatru. Dialog kończy się wreszcie. Göring mówi o prześlicznej pogodzie. O błękitnym niebie. O ptaszkach. Jest właśnie na balkonie – dodaje – i słyszy przez radio entuzjazm Austriaków. „Jak cudownie!" – woła Ribbentrop.

Siedem lat później, 29 listopada 1945 roku, wysłuchano na nowo tego samego dialogu. Padały te same słowa, być może wypowiadane z mniejszym wahaniem, bo zapisane; były to jednak dokładnie te same impertynenckie słowa, to samo wrażenie szyderstwa. Dzieje się to w Norymberdze, przed międzynarodowym trybunałem. Prokurator Stanów Zjednoczonych Sydney Alderman wyciąga z teczki plik kartek na poparcie oskarżenia o spisek przeciw pokojowi. Rozmowę między Ribbentropem a Göringiem uważa za bardzo wymowną: jak twierdzi, słychać w niej swego rodzaju „podwójny język", mający wprowadzić w błąd inne narody.

Alderman rozpoczął lekturę. Czytał dialog tak, jak się czyta na głos sztuki teatralne. Kiedy więc wypowiedział nazwisko Göringa jako pierwszej osoby dramatu, prawdziwy Göring zrobił gest, jakby chciał wstać z ławy oskarżonych. Zaraz jednak zrozumiał, że go wcale nie wzywano, że

tylko ktoś odegra jego rolę przed nim samym i wyrecytuje jego tyrady. Monotonnym, ciężkim głosem Alderman odczytał całą scenkę.

Göring: Panie Ribbentrop, jak panu wiadomo, Führer powierzył mi na czas swojej nieobecności nadzór nad bieżącymi sprawami Rzeszy. Chciałbym zatem pana poinformować o olbrzymiej radości, jaka panuje w Austrii; może pan to usłyszeć przez radio.

Ribbentrop: Tak, prawda, że to fantastyczne?

Göring: Seyss-Inquart obawiał się, że w kraju zapanuje terror albo wojna domowa. Poprosił, abyśmy niezwłocznie przybyli, i natychmiast wyruszyliśmy w kierunku granicy, by zapobiec chaosowi.

Göring nie wiedział jednak wówczas, 13 maja 1938 roku, że pewnego dnia wyjdą na jaw bardziej szczere wypowiedzi. Polecił swoim własnym służbom, by notowały jego ważniejsze rozmowy z myślą o historii. Kto wie, może na starość zechce napisać własną *Wojnę galijską*? Mógłby się wtedy podeprzeć notatkami sporządzanymi na bieżąco w ważnych momentach jego kariery. Nie wiedział jednak, że te notatki, zamiast spocząć na jego biurku, kiedy osiągnie wiek emerytalny, trafią tutaj, do Norymbergi, w ręce prokuratora. Można było zatem wysłuchać dwóch innych scen, tych, które się rozegrały między Berlinem a Wiedniem dwa dni wcześniej, 11 marca, kiedy Göring sądził, że nikt go nie słyszy, nikt poza Seyss-Inquartem i Dombrowskim, radcą ambasady, który pośredniczył w ich kontaktach, no i oczywiście poza tym, który notował dla potomności te wspaniałe rozmowy. Göring nie wiedział, że w rzeczywistości słucha go cały świat. Oczywiście nie w tej samej minucie, w której rozmawiali, nie, ale słuchała go właśnie potomność, ta sama przyszłość, której wypatrywał. Tak się właśnie stało. Wszystkie rozmowy, jakie Göring tego wieczoru odbywał, są dokładnie spisane, zarchiwizowane, dostępne. Bomby cudem je oszczędziły.

Göring: Kiedy Seyss-Inquart zamierza utworzyć gabinet?

Dombrowski: O 21:15.

Göring: Gabinett musi być utworzony o 19:30.

Dombrowski: ...o 19:30.

Göring: Keppler przyniesie panu nazwiska. Wie pan, kto ma być ministrem sprawiedliwości?

Dombrowski: Tak, tak...

Göring: Niech pan wypowie nazwisko...

Dombrowski: Pański szwagier, prawda?

Göring: Zgadza się.

I Göring dyktuje porządek dnia, godzina po godzinie. Krok po kroku. W zwięzłych zdaniach pobrzmiewa władczy ton, pogarda. Nagle widzimy jak na dłoni mafijne cechy tego przedsięwzięcia. Niespełna dwadzieścia minut po scenie, którą przeczytaliśmy przed chwilą, telefonuje Seyss-Inquart. Göring każe mu udać się ponownie do Miklasa i dać mu do zrozumienia, że jeśli do 19:30 nie mianuje go kanclerzem, na Austrię ruszą wojska. Jesteśmy bardzo daleko od miłej pogawędki między Göringiem a Ribbentropem, daleko od wyzwolicieli Austrii. Uwagę przykuwa wszakże jeszcze jedna rzecz, a mianowicie wyrażenie, jakiego używa Göring, groźba r u s z e n i a n a A u s t r i ę. Podkładamy zaraz pod te słowa przerażające obrazy. Po to jednak, by je należycie zrozumieć, trzeba wrócić po nitce do kłębka, trzeba zapomnieć o tym, co się nam wydaje, że wiemy, zapomnieć o wojnie, odsunąć od siebie ówczesne doniesienia prasowe, mistyfikacje Goebbelsa, całą jego propagandę. Trzeba sobie przypomnieć, że w owej chwili *Blitzkrieg* nie istnieje. Jest niczym więcej jak natłokiem stojących w korku panzerów. Jest gigantyczną awarią silników na głównych szosach Austrii, jest jedynie ludzkim szaleństwem, słowem, które padło dopiero później, jak pokerowe zagranie. A tym, co w tej wojnie zadziwia, jest nieprawdopodobny sukces bezczelności, z którego należy zapamiętać jedno: świat ugina się przed blefem. Nawet najpoważniejszy, najbardziej niezłomny świat, nawet stary porządek, który nigdy nie ulega wymogom sprawiedliwości, nie ugina się przed zbuntowanym ludem, nawet on ustępuje wobec blefu.

Kiedy Alderman odczytywał w Norymberdze stenogram, Göring słuchał, podpierając dłonią podbródek. Chwilami się uśmiechał. Aktorzy biorący udział w tej scenie znajdują się teraz w jednym pomieszczeniu. Nie są już w Berlinie, Wiedniu i Londynie, siedzą w odległości kilku metrów od siebie: Ribbentrop i jego pożegnalny obiad, Seyss-Inquart i jego służalczość obozowego kapo, Göring i jego gangsterskie metody. Na zakończenie Alderman powrócił do 13 marca. Jako ostatni dowód przeczytał koniec krótkiego dialogu. Przeczytał go monotonnym głosem, odbierającym tej rozmowie wszelkie pozory godności i sprowadzającym ją do tego, czym była: zwyczajnym, pospolitym łajdactwem.

Göring: „Pogoda jest prześliczna. Błękitne niebo. Siedzę u siebie na balkonie przykryty kocem, na świeżym powietrzu. Piję właśnie kawę. Ptaszki ćwierkają. Przez radio słyszę entuzjazm Austriaków".

Ribbentrop: „Jak cudownie!".

W tej chwili na ławie oskarżonych, pod zegarem, czas staje w miejscu: coś się dzieje. Cała sala odwraca się w tamtą stronę. Jak relacjonuje Kessel, specjalny wysłannik „France-Soir" w trybunale norymberskim, słysząc słowo „cudownie", Göring parsknął śmiechem. Na wspomnienie tego teatralnego wykrzyknika, czując być może, jakie lata świetlne dzielą ową sceniczną replikę od wielkiej Historii, od jej dostojeństwa, od powszechnych wyobrażeń o tym, czym są wielkie wydarzenia, Göring spojrzał na Ribbentropa i parsknął śmiechem. A wtedy Ribbentropem również wstrząsnął nerwowy śmiech. W obliczu międzynarodowego trybunału, w obliczu swoich sędziów, przy dziennikarzach z całego świata, pośród ruin nie mogli się powstrzymać od śmiechu.

## Rekwizytornia

Okruchy prawdy są przemieszane z wszelkiego rodzaju śmieciem. Oto niemiecki intelektualista Günther Stern, przybyły jako imigrant do Stanów Zjednoczonych, Żyd bez grosza przy duszy, na długo przed tym, zanim przybrał nazwisko Anders, I n n y, zmuszony imać się najrozmaitszych zajęć, by zarobić na życie, w wieku czterdziestu lat zostaje rekwizytorem i pracuje w Hollywood Custom Palace, którego sale kryją w sobie całą garderobianą przeszłość gatunku ludzkiego. Hollywood Custom Palace jest bowiem wypożyczalnią kostiumów do filmów, wypożycza ubrania Kleopatry, Dantona, średniowiecznych minstrelów i mieszczan z Calais. W Hollywood Palace można znaleźć wszystko, szmaciarnię całej ludzkości, wzniosłą nicość, rozrzucone po półkach strzępy minionej chwały, namiastki wspomnień. Przechowuje się tutaj na wszelki wypadek drewniane miecze, kartonowe korony, tekturowe ściany. Każdy detal jest podrobiony. Węgiel na koszuli górnika, przetarcia na kolanach żebraka, krew na szyi skazańca. Historia jest spektaklem. W Hollywood Palace znajdziemy wszystko, co było: habity męczenników wiszą i suszą się na tych samych sznurach, co togi patrycjuszy. Nie ma między nimi różnicy. Mówi się, że obrazy, film, fotografia nie są prawdziwym światem – nie jestem tego do końca pewien. Kolejne kondygnacje tego budynku, na których piętrzą się epoki, wywołują wrażenie absurdu albo szaleństwa. Zupełnie jakbyśmy się znaleźli w samym sercu wielkości, lecz wepchnięci w kąt, pomniejszeni, jakby kurz był jedynie pudrem, niszczący wpływ czasu złudzeniem, brud charakteryzacją, a pozór wewnętrzną prawdą. Tylko że cała ludzkość to stanowczo za dużo. Hollywood Palace upycha za dużo szmat, gromadzi za dużo odmian, stłacza za dużo epok. Można tam ujrzeć udrapowanego w togę Rzymianina z superprodukcji, Egipcjanina ze sklepu z pamiątkami, Babilończyka z cyrku, Greka z przemytu; ale również wszelkie odmiany przepaski biodrowej i pareo, barwne sari kobiet z Gudżaratu, bogato zdobione *baluchari* z Bengalu, lekki muślin z Pondichéry; da się także wygrzebać wszystkie typy malajskiego sarongu,

narzutki, poncho, pelerynki, *paenulae*; pierwsze ubrania z rękawami, tuniki, bluzy i koszule, kaftany, prehistoryczne skóry zwierząt; i wszelkich przodków spodni. Hollywood Palace to jaskinia pełna skarbów. Zajęcie nie jest oczywiście zbytnio ekscytujące: tu poskładać ubranie zdjęte ze zwłok Pancho Villi, tam poprawić kryzę Marii Stuart czy odłożyć na półkę kapelusz Napoleona. Mimo wszystko jednak praca rekwizytora Historii to niemały przywilej.

Günther Stern bardzo podkreśla w swoim dzienniku, że są tam wszystkie ubrania, nawet te, które nosiły cyrkowe małpy czy pieski z Deauville; jest wszystko, począwszy od listka figowego Adama po wysokie buty SA. Ale największą niespodzianką nie jest to, że można tu znaleźć wszystkie kostiumy z całej kuli ziemskiej, lecz to, że są już kostiumy nazistów. A w dodatku, o ironio – pisze Günther Stern – ich buty pastuje Żyd. Bo przecież trzeba dbać o te fatałaszki! I jak każdy inny pracownik Hollywood Palace Günther Stern musi pastować wysokie buty nazistów tak samo starannie, jak glansuje koturny gladiatorów lub sandały Chińczyków. Nie ma tu miejsca na prawdziwą tragedię, kostiumy muszą być w każdej chwili gotowe do użytku na planie filmowym, do wykorzystania przy wielkiej inscenizacji świata. I będą gotowe; a są prawdziwsze od oryginałów, dokładniejsze niż te, które się poniewierają po muzeach; doskonałe kopie, w których nie brakuje żadnego guzika, żadnej niteczki, i które – jak w sklepach odzieżowych – są dostępne w każdym rozmiarze. Kopie mają być jednak nie tylko wierne i nie budzące wątpliwości, muszą być również wytarte, podziurawione, wybrudzone. Cóż, świat nie jest rewią mody, a kino ma dawać złudzenie rzeczywistości. Trzeba zatem dbać o fałszywe rozdarcia, fałszywe plamy, fałszywą rdzę. Trzeba wywołać wrażenie, że czas już upłynął.

A zatem na długo przed rozpoczęciem bitwy pod Stalingradem, przed opracowaniem planu Barbarossa, przed powzięciem zamysłu, przed decyzją, przed kampanią francuską, zanim nawet Niemcy zaczęli myśleć o jej przeprowadzeniu, wojna jest już obecna, spoczywa na półkach, gotowa do użycia w spektaklu. Wielka amerykańska machina najwyraźniej już objęła w posiadanie jej niesłychany zgiełk. Wojnę będzie przedstawiała wyłącznie w postaci wielkiego czynu. Przemieni ją w źródło dochodów. W temat. W dobry interes. W ostatecznym rozrachunku tym, co decyduje

o kondycji rzeczy, co je przekształca, przerabia, zgniata, nie są wcale panzery ani sztukasy, ani organy Stalina. Gęstość naszych istnień przybiera ton zbiorowej pewności właśnie tam, w przedsiębiorczej Kalifornii, pośród krzyżujących się pod kątem prostym bulwarów, na rogu między smażalnią donutsów a stacją benzynową. To tam, w pierwszych supermarketach, przed pierwszymi telewizorami, między tosterem a kalkulatorem opowiada się o świecie w jego prawdziwym rytmie, tym, który ostatecznie przyjmie.

I podczas gdy Führer szykował dopiero najazd na Francję, podczas gdy jego sztab odgrzewał stare doktryny Schlieffena, a mechanicy naprawiali jeszcze panzery, w Hollywood już poukładano ich kostiumy na półkach przeszłości. Wisiały na wieszakach spraw zakończonych, leżały jedne na drugich poskładane w kostkę w dziale staroci. Tak, na długo przed tym, zanim zaczęła się wojna, kiedy Lebrun, ślepy i głuchy, podpisywał dekrety o loterii, kiedy Halifax kumplował się z Niemcami, a zatrwożonemu narodowi austriackiemu wydawało się, że w sylwetce szaleńca dostrzega swoje przeznaczenie, kostiumy nazistowskich wojskowych znajdowały się już w rekwizytorni.

## *THE SOUND OF MUSIC*

15 marca przed zamkiem cesarskim, na całym placu aż po wielki pomnik konny arcyksięcia Karola, kłębi się tłum, nieszczęsny austriacki tłum, oszukany, pokrzywdzony, lecz ostatecznie dający pełne przyzwolenie; przybył, by wiwatować. Jeśli zajrzymy pod ohydne łachmany Historii, znajdziemy hierarchię sprzeciwiającą się równości i porządek dający odpór wolności. Oto więc ten olbrzymi tłum, zwiedziony małostkową i niebezpieczną ideą narodu, rozgoryczony poprzednią klęską, wyciąga przed siebie ramię, tam gdzie z balkonu pałacu Sissi rozlega się głos przerażająco dziwny, liryczny, niepokojący, kończący przemowę ochrypłym i nieprzyjemnym krzykiem – Hitler. Grzmi niemiecką mową bardzo zbliżoną do języka wymyślonego później przez Chaplina, składającą się ze złorzeczeń, mową, w której da się rozpoznać jedynie parę pojedynczych słów: „wojna", „Żydzi", „świat". Tłum wrzeszczy, ludzi nie sposób zliczyć. Führer właśnie ogłosił z balkonu Anschluss. Wiwaty są tak jednogłośne, tak potężne, tak się wznoszą ku niebu, że zaczynamy się zastanawiać, czy w kronikach filmowych z tego okresu nie słyszymy przypadkiem za każdym razem tego samego tłumu, tej samej ścieżki dźwiękowej. Bo tę historię ukazują nam przecież filmy, które oglądamy, kroniki lub produkcje propagandowe; właśnie one kształtują nasze pojęcie o tym okresie, a wszystko, co myślimy, jest osnute na tej jednorodnej kanwie.

Nigdy już nie zdołamy się tego dowiedzieć. Nie wiadomo, kto mówi. Realizacje z tamtego okresu za sprawą potężnego zaklęcia stały się naszymi wspomnieniami. Wojna światowa i wstęp do niej tkwią wewnątrz tego niekończącego się filmu, w którym nie sposób już odróżnić prawdy od fałszu. A ponieważ Rzesza zwerbowała więcej reżyserów, montażystów, operatorów, dźwiękowców i wózkarzy niż wszyscy pozostali protagoniści tego dramatu razem wzięci, można powiedzieć, że do włączenia się Rosjan i Amerykanów reżyserem naszych obrazów wojny pozostanie na wieczność Joseph Goebbels. Historia, którą mamy przed oczyma, przebiega jak

w filmie Josepha Goebbelsa. To niesamowite. Niemieckie kroniki filmowe stają się wzorcem fikcji. Anschluss wydaje się niesłychanym sukcesem. Ale wiwaty wyraźnie zostały nagrane osobno i dodane do obrazu; jak to się fachowo określa, wykonano postsynchronizację. I bardzo możliwe, że żadna z szalonych owacji wybuchających na widok Hitlera nie brzmiała tak, jak ta, którą słyszymy.

Obejrzałem wszystkie te filmy. Oczywiście nie można na nie patrzeć bezkrytycznie, sprowadzono działaczy partii nazistowskiej z całej Austrii, uwięziono przeciwników politycznych, Żydów, jest to tłum przesiany i oczyszczony – ale są tam przecież obecni Austriacy, nie jest to tylko tłum złożony ze statystów. Są tam przecież radosne dziewczęta z blond warkoczami i poczciwa para, która wznosi okrzyki, uśmiechnięta od ucha do ucha – ach, wszystkie te uśmiechy! Te gesty! Transparenty falujące naprzeciw przejeżdżającego orszaku! Nie padł ani jeden wystrzał. Co za smutek!

Nie wszystko jednak odbyło się zgodnie z przewidywaniami i „najlepsza armia świata" właśnie dowiodła, że na razie jest jedynie stertą metalu, blaszaną skorupą. A jednak, mimo niedostatecznego przygotowania, mimo wadliwego wyposażenia, mimo że całkiem niedawno zeppelin nazwany Hindenburg wybuchł w powietrzu podczas lądowania w New Jersey, a w katastrofie zginęło trzydzieści pięć osób, mimo że większość generałów Luftwaffe niewiele jeszcze wiedziała o lotnictwie myśliwskim, mimo że Hitler objął naczelne dowództwo, nie mając żadnego doświadczenia w tej dziedzinie, ówczesne kroniki wywołują wrażenie, że mamy do czynienia z nieubłaganą machiną. Na kunsztownie wykadrowanych ujęciach widać, jak niemieckie czołgi posuwają się naprzód wśród rozradowanego tłumu. Czy ktoś mógłby przypuścić, że chwilę przedtem doznały gigantycznej awarii? Armia niemiecka wygląda, jakby maszerowała szlakiem zwycięstwa, łatwym i prostym, usłanym kwieciem i uśmiechami. Swetoniusz opowiada, że cesarz rzymski Kaligula poprowadził swoje legiony na północ i w chwili zamroczenia czy też upojenia ustawił żołnierzy w szeregu twarzami ku morzu, i kazał im zbierać muszle. Otóż oglądając francuskie kroniki filmowe, mamy wrażenie, że żołnierze niemieccy spędzili dzień na zbieraniu uśmiechów.

*

Czasem wydaje nam się, że to, co nas spotyka, zostało opisane w gazecie sprzed wielu miesięcy; że jest to zły sen, który się nam wcześniej przyśnił. I oto niespełna pół roku później, 29 września 1938 roku, wszyscy spotykają się w Monachium, na słynnej konferencji. I tak jakby dało się tym zaspokoić apetyt Hitlera, przehandlowują Czechosłowację. Delegacja francuska i angielska udają się do Niemiec. Spotykają się z gościnnym przyjęciem. W wielkim hallu dźwięczy kryształowy żyrandol, wisiorki, jak kołyszące się na wietrze dzwoneczki karylionu, odgrywają ponad głowami ludojadów zwiewną kompozycję. Drużyny Daladiera i Chamberlaina usiłują wydrzeć Hitlerowi niewarte funta kłaków ustępstwa.

Obciążamy odpowiedzialnością Historię, utrzymując, że to ona każe aktorom naszych udręk przybierać uroczyste pozy; że nie możemy nigdy zobaczyć wyświechtanego mankietu spodni, wypłowiałego obrusa, grzbietu książeczki czekowej, plamy z kawy. Że ukazuje wyłącznie korzystniejszy profil. Jeśli jednak przyjrzymy się uważnie fotografii, na której widać Chamberlaina i Daladiera w Monachium tuż przed złożeniem podpisów, obok Hitlera i Mussoliniego, okaże się, że premierzy Francji i Anglii nie wyglądają na szczególnie zadowolonych. Mimo wszystko jednak podpisują. Po przejeździe ulicami Monachium wśród wiwatów tłumu, witającego ich nazistowskim salutem, podpisują. I widzimy obydwu: Daladier w kapeluszu, nieco speszony, macha lekko łapką jak nakręcana zabawka, pozdrawiając zgromadzonych; Chamberlain uśmiecha się szeroko, trzymając *hat* w ręku. Niestrudzony siewca pokoju, jak go nazywają ówczesne kroniki, wspina się po schodach, czarno-biały po wieczne czasy, między dwoma szeregami nazistowskich żołnierzy.

W tym momencie natchniony komentator oznajmia nosowym głosem, że czterej przywódcy, Daladier, Chamberlain, Mussolini i Hitler, wiedzeni wspólnym pragnieniem utrzymania pokoju, pozują dla potomności. Historia obnaża żałosną nicość tych komentarzy i dyskredytuje bezlitośnie wszystkie kolejne kroniki. Podobno w Monachium narodziła się olbrzymia nadzieja. Ci, którzy to mówią, nie mają pojęcia o znaczeniu słów. Mówią językiem rajskiego ogrodu, w którym, jak powiadają, wszystkie słowa są jednakie. Nieco później w Radiu Paryż na falach długich, na długości

tysiąca sześciuset czterdziestu ośmiu metrów po kilku pierwszych nutach Édouard Daladier opowiada. Ma pewność, że ocalił pokój w Europie; tak nam oznajmia. Wcale w to nie wierzy. Podobno na widok wiwatującego tłumu mruknął, schodząc po schodkach z samolotu: „Ach! Co za głupcy, gdyby wiedzieli!". Na tym nieszczęsnym targowisku, na którym trwają już przygotowania do najstraszniejszych wydarzeń, panuje tajemnicze poszanowanie kłamstwa. Wykręty zadają kłam faktom, a deklaracje naszych przywódców wkrótce ulecą w siną dal niczym blaszany dach porwany wiosennym wichrem.

## Umarli

Aby usankcjonować zajęcie Austrii, urządzono referendum. Aresztowano resztki opozycji. Księża nawoływali z ambon do głosowania na narodowych socjalistów, a kościoły przyozdobiły się proporczykami ze swastyką. Nawet były przywódca socjaldemokratów wezwał do głosowania na tak. Nie było prawie żadnych głosów sprzeciwu – 99,7 procent Austriaków opowiedziało się za przyłączeniem do Rzeszy. I podczas gdy dwudziestu czterech jegomościów z początku tej opowieści, kapłanów wielkiego przemysłu niemieckiego, zastanawiało się już nad tym, jak podzielić między siebie kraj, Hitler odbył to, co możemy nazwać tryumfalnym tournée po Austrii. Wszędzie witano go entuzjastycznie z okazji cudownego powrotu po latach rozłąki.

A przecież tuż przed Anschlussem w ciągu jednego tygodnia doszło do ponad tysiąca siedmiuset samobójstw. Wkrótce zamieszczenie w prasie wiadomości o samobójstwie miało się stać aktem oporu. Paru dziennikarzy ośmielało się jeszcze przez jakiś czas pisać o „nagłej śmierci", ale represje szybko zmusiły ich do milczenia. Zaczęto szukać innych zwyczajowych formułek, nie budzących zastrzeżeń. Dlatego nie znamy liczby tych, którzy odebrali sobie życie, ani ich nazwisk. Nazajutrz po zajęciu kraju można było jeszcze przeczytać w „Neue Freie Presse" cztery nekrologi: „Rano w dniu 12 marca Alma Biro, urzędniczka, lat 40, podcięła sobie brzytwą żyły i odkręciła gaz. W tej samej chwili pisarz Karl Schlesinger, lat 49, strzelił sobie w skroń. Samobójstwo popełniła również gospodyni domowa Helene Kuhner, lat 69. Po południu Leopold Bien, urzędnik, lat 36, wyskoczył przez okno. Motywy tego czynu nie są znane". Ta krótka, zdawkowa apostylla napawa wstydem. 13 marca bowiem nikt nie mógł nie wiedzieć, jakie były ich motywy. Nikt. Nie powinno się zresztą mówić o motywach, tylko o jednym i tym samym powodzie.

Alma, Karl, Leopold czy Helena zobaczyli być może ze swoich okien Żydów wleczonych po ulicy. Wystarczyło im jedno spojrzenie na tych,

którym ogolono głowy, by zrozumieć. Wystarczyło jedno spojrzenie na mężczyznę, któremu przechodnie namalowali na potylicy krzyż *tau*, symbol krzyżowców, taki sam, jaki jeszcze przed godziną miał w klapie kanclerz Schuschnigg. Wystarczyło nawet, że ktoś im o tym powiedział, że się domyślili, uznali za możliwe, a nawet wyobrazili sobie, zanim jeszcze do tego doszło. Wystarczyło im popatrzeć na uśmiechniętych ludzi, by wiedzieć.

I nieważne, czy wśród wyjącego tłumu Helena zobaczyła, czy nie zobaczyła tamtego poranka Żydów na czworakach, Żydów na klęczkach, sprzątających chodniki ku uciesze przyglądających się im przechodniów. Nieważne, czy była, czy nie była świadkiem tych haniebnych widowisk, kiedy to kazano im gryźć rosnącą trawę. Jej śmierć wyraża to, co odczuła, wielką rozpacz, odrażającą rzeczywistość, obrzydzenie do świata, który ukazał się jej w całej swojej morderczej nagości. Bo przecież zbrodnia była już w nim obecna, kryła się w proporczykach, uśmiechach dziewcząt, w całej tej złowieszczej wiośnie. I nawet w śmiechu, w nieokiełznanym entuzjazmie Helena Kuhner musiała wyczuć nienawiść i rozkosz. W przerażającym przebłysku musiała dojrzeć poza tysiącami sylwetek i twarzy miliony więźniów. I za budzącą grozę uciechą zamajaczyły jej kamieniołomy w Mauthausen. Wtedy zobaczyła własną śmierć. Wśród uśmiechów wiedeńskich dziewcząt, pośród okrzyków tłumu, świeżej woni niezapominajek, pośród tej dziwnej wesołości i entuzjazmu musiała ją owego 12 marca 1938 roku ogarnąć najczarniejsza rozpacz.

Serpentyny, confetti, proporczyki. Co się stało z tymi dziewczętami, cieszącymi się jak szalone, co się stało z ich uśmiechami? Z ich beztroską? Ze szczerymi, radosnymi twarzami? Z całą tą uciechą z marca 1938 roku? Jeśli któraś rozpoznaje się dzisiaj na ekranie, co sobie myśli? Od początku świata prawdziwa myśl jest zawsze ukryta. Myślimy apokopami, na bezdechu. Lecz teraz, kiedy zmarszczki poorały twarz dziewczyny, otoczyły pajęczyną oczy, kiedy głos stracił dźwięczność, wzrok błądzi po powierzchni rzeczy, między telewizorem wypluwającym z siebie archiwalne ujęcia a kubeczkiem jogurtu, kiedy czuwa nad nią pielęgniarka, która nic już nie wie, kiedy druga wojna światowa jest już bardzo daleko, a pokolenia przychodzą jedne po drugich jak wartownicy wśród ciemnej nocy – jak oddzielić przeżytą młodość, zapach owocu, zapierające dech

w piersiach rozkwitanie pąków od potworności i grozy? Nie wiem. I czy tkwiąca w domu opieki wśród mdlącego zapachu eteru i jodyny, krucha jak ptaszek, pomarszczona stara dziewczynka, która rozpoznaje siebie w parominutowym filmie, na chłodnym prostokącie telewizora, ona, wciąż żywa po wojnie, po zniszczeniach, po amerykańskiej lub rosyjskiej okupacji, w szurających po linoleum kapciach, z marznącymi dłońmi, całymi w starczych plamach, wolno ześlizgującymi się z poręczy trzcinowego fotela, kiedy pielęgniarka otwiera drzwi – czy wzdycha czasem, wydobywając z formaliny bolesne wspomnienia?

Alma Biro, Karl Schlesinger, Leopold Bien i Helene Kuhner nie żyli tak długo. Leopold, zanim wyskoczył przez okno 12 marca 1938 roku, musiał wielokrotnie zmierzyć się z prawdą, a potem z hańbą. On także był przecież Austriakiem i pewnie od lat musiał znosić groteskowe dowcipy narodowego katolicyzmu. Kiedy dwóch austriackich nazistów zadzwoniło po południu do jego drzwi, twarz młodego mężczyzny wydała się nagle strasznie stara. Od pewnego czasu szukał nowych słów, niezależnych od władzy i związanej z nią przemocy, i już ich nie znajdował. Po całych dniach przemierzał ulice, bojąc się stale, że spotka nieprzyjaznego sąsiada, dawnego kolegę, który na jego widok odwróci głowę. Życie, które kochał, już nie istniało. Nic z niego nie pozostało: ani sumienna praca, która dostarczała mu niejakiego zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku, ani skromny posiłek w połowie dnia, kanapka zjadana na schodach starej kamienicy, skąd przyglądał się przechodniom. Wszystko zostało zniszczone. I dlatego kiedy tamtego popołudnia w dniu 12 marca rozległ się dzwonek, jego myśli okryły umysł mgłą, usłyszał nagle cichy wewnętrzny głos, którego nie zdoła stłumić nawet długotrwałe zatrucie duszy, otworzył okno i wyskoczył.

W liście do Margarete Steffin Walter Benjamin opowiada z namiętną ironią, której czas i nasza powojenna wiedza nadają coś nieznośnego, że nagle wiedeńskim Żydom odcięto gaz: gazownia ponosiła straty z tytułu zużywanego przez nich gazu. A to dlatego, że najwięcej zużywali ci, którzy nie płacili rachunków – dodaje Benjamin. W tym miejscu list pisany do Margarete nabiera osobliwego tonu. Rodzi się wahanie, niepewność, czy dobrze rozumiemy. Znaczenie listu przepływa między gałęziami, snuje się

po bladym niebie, a kiedy się objawia, kiedy tworzy nagle kałużę sensu pośrodku niczego, staje się jednym z najbardziej szalonych i najsmutniejszych znaczeń, jakie zna świat. Jeśli bowiem gazownia austriacka nie chciała dłużej zaopatrywać Żydów, działo się tak dlatego, że samobójstwo popełniali najchętniej, odkręcając gaz, i pozostawiali niezapłacone rachunki. Zastanawiałem się, czy to była prawda – bo tyle strasznych rzeczy wymyśliła tamta epoka, powodowana obłąkanym pragmatyzmem – czy też tylko żart, okrutny żart wykoncypowany w posępnym blasku świec. Nieważne jednak, czy to najbardziej gorzki z żartów, czy rzeczywistość: jeśli humor staje się tak mroczny, mówi prawdę.

W takim nieszczęściu rzeczy tracą nazwy. Oddalają się od nas. I nie sposób już mówić o samobójstwie. Alma Biro nie popełniła samobójstwa. Karl Schlesinger nie popełnił samobójstwa. Leopold Bien nie popełnił samobójstwa. Helene Kuhner też nie. Żadne z nich. Ich śmierci nie można powiązać z tajemniczą opowieścią o ich własnych niedolach. Nie można nawet powiedzieć, że postanowili umrzeć z godnością. Nie. Ich życia nie spustoszyła własna, prywatna rozpacz. Ich ból to ból zbiorowy. A ich samobójstwa są cudzą zbrodnią.

## KIM SĄ CI WSZYSCY LUDZIE?

Wystarczy czasem jedno słowo, by zdanie zastygło, by myśl gdzieś odpłynęła; czas temu nie podlega. Nie przerywa pielgrzymki, niewzruszony pośród chaosu. Oto więc Gustav Krupp, którego widzieliśmy na początku tej opowieści, jak się dokładał do skarbonki nazistów i wspierał raczkujący reżim, wiosną 1944 roku jadł kolację w towarzystwie swojej żony Berthy i najstarszego syna Alfreda, dziedzica *Konzern*. Były to ich ostatnie chwile w willi Hügel, olbrzymim pałacu, w którym mieszkali od zawsze i który ucieleśniał ich potęgę. Sprawy przybrały zły obrót. Wojska niemieckie zewsząd się wycofywały. Uznali, że nie ma innego wyjścia, jak opuścić posiadłość i schronić się w górach, z dala od Zagłębia Ruhry, w Blühnbach, tam, gdzie ich nie dosięgną bomby, w chłodnym, białym zaciszu.

Nagle stary Gustav podniósł się z miejsca. Od dawna już zaczął się bezpowrotnie pogrążać w otępieniu. Zdziecinniały, robiący pod siebie, od lat się nie odzywał. Tamtego wieczoru jednak w połowie posiłku gwałtownie wstał i kurczowo przyciskając do siebie serwetkę, wyciągnął rękę, wycelował długi, chudy palec w głąb jadalni, w kąt za plecami syna, i wymamrotał: „Kim są ci wszyscy ludzie?”. Żona spojrzała w bok, syn odwrócił się błyskawicznie. Ogarnęło ich przerażenie. Kąt był pogrążony w mroku. Gustavowi wydało się, że ciemność się porusza, że w czerni pełzają powoli jakieś postacie. Krew zastygła mu w żyłach, lecz nie za sprawą widm nawiedzających willę Hügel, nie były to wcale lamie ani larwy, nie, patrzyli na niego prawdziwi ludzie, mający prawdziwe twarze. Ujrzał olbrzymie oczy, z ciemności wychodziły jakieś sylwetki. Nieznajomi. Poczuł potworny strach. Stał jak skamieniały. Służba znieruchomiała. Zasłony zlodowaciały. I wydawało mu się, że widzi naprawdę, że nigdy nie widział tyle co w tej minucie. A tym, co zobaczył, co powoli wynurzyło się z cienia, były dziesiątki tysięcy zwłok, ciała przymusowych robotników, tych, których SS dostarczała mu do fabryk. Wychodzili z nicości.

Przez lata brał więźniów z Buchenwaldu, Flossenbürga, Ravensbrück, Sachsenhausen, Auschwitz i wielu innych obozów. Przeżywali średnio kilka miesięcy. Jeśli więzień nie zapadł na chorobę zakaźną, umierał po prostu z głodu. Krupp jednak nie był jedynym, który najmował takich pracowników. Jego współtowarzysze uczestniczący w zebraniu z 20 lutego również korzystali z tego rodzaju usług; w tle zbrodniczych namiętności i politycznej gestykulacji realizowali swoje interesy. Wojna była zyskownym przedsięwzięciem. Bayer dzierżawił siłę roboczą w Mauthausen. BMW najmował ręce do pracy w Dachau, w Papenburgu, Sachsenhausen, w Natzweiler-Struthof i w Buchenwaldzie. Daimler w Schirmeck. I.G. Farben rekrutowała pracowników w Dora-Mittelbau, w Gross-Rosen, Sachsenhausen, w Buchenwaldzie, w Ravensbrück, Dachau, Mauthausen, i prowadziła ogromną fabrykę w obozie Auschwitz: była to I.G. Auschwitz, która bezwstydnie figuruje pod tą nazwą w schemacie organizacyjnym firmy. Agfa werbowała robotników w Dachau. Shell w Neuengamme. Schneider w Buchenwaldzie. Telefunken w Gross-Rosen, a Siemens w Buchenwaldzie, Flossenbürgu, w Neuengamme, Ravensbrück, Sachsenhausen, w Gross-Rosen i Auschwitz. Wszyscy rzucili się na tanią siłę roboczą. To nie Gustavowi zwiduje się coś zatem tamtego wieczoru – to Bertha i jej syn nie chcą nic widzieć. Bo wszyscy ci umarli są tam, w mroku, są naprawdę.

Z sześciuset więźniów przywiezionych tym samym transportem w roku 1943 do zakładów Kruppa po roku pozostało zaledwie dwudziestu. Jednym z ostatnich przedsięwzięć Gustava przed przekazaniem steru synowi było utworzenie Berthawerk, fabryki koncentracyjnej nazwanej imieniem żony – miał to być swego rodzaju hołd. Pracowali tam ludzie czarni od brudu, zawszeni, czy to zimą, czy latem pokonujący pięć kilometrów z obozu do fabryki i z fabryki do obozu w zwykłych drewniakach; budzeni o wpół do piątej, pilnowani przez esesmanów i tresowane psy, bici, torturowani. Kolacja trwała czasem nawet dwie godziny; nie dlatego, że tak wolno jedli, tylko dlatego, że trzeba było czekać – brakowało misek do nalewania zupy.

Wróćmy teraz na chwilę do początku tej opowieści i popatrzmy na nich znowu, na wszystkich dwudziestu czterech siedzących wokół stołu. Wygląda to jak najzwyklejsze spotkanie przedsiębiorców. Takie same

garnitury, takie same krawaty, ciemne albo w paski, takie same jedwabne chusteczki, takie same okulary w złotych oprawkach, takie same łyse czaszki, takie same roztropne twarze jak dziś. W gruncie rzeczy moda prawie się nie zmieniła. Za jakiś czas zamiast Złotej Odznaki niektórzy będą z dumą nosić Związkowy Krzyż Zasługi, jak we Francji nosi się Order Legii Honorowej. Kolejne rządy doceniają ich zasługi w taki sam sposób. Popatrzmy, jak czekają 20 lutego, stateczni, rozważni, podczas gdy tuż za ich plecami przechodzi na palcach diabeł. Gawędzą; ten niewielki konwentykiel niczym się nie różni od setek innych. Niech się nam nie wydaje, że to wszystko należy do odległej przeszłości. Nie są to żadne przedpotopowe potwory, istoty, które spotkał żałosny koniec w latach pięćdziesiątych, które pomarły w nędzy malowanej przez Rosselliniego, wśród ruin Berlina. Te nazwiska istnieją nadal. Posiadają olbrzymie bogactwa. Niektóre spółki się połączyły i tworzą wszechmocne korporacje. Na stronie internetowej koncernu ThyssenKrupp, jednego ze światowych liderów w dziedzinie produkcji stali, którego siedziba znajduje się nadal w Essen i którego dewizą jest obecnie elastyczność i przejrzystość, natrafiamy na notkę na temat rodziny Kruppów. Czytamy w niej, że przed rokiem 1933 Gustav nie wspierał czynnie Hitlera, lecz kiedy ten został kanclerzem, przemysłowiec zachowywał lojalność wobec swojego państwa. Członkiem partii narodowo-socjalistycznej został dopiero w roku 1940 – informują nas autorzy notki – w swoje siedemdziesiąte urodziny. Gustav i Bertha, głęboko przywiązani do tradycji działalności socjalnej przedsiębiorstwa, na przekór wszystkiemu i wszystkim dbali o podtrzymywanie zwyczaju składania wizyt najwierniejszym pracownikom z okazji ich złotego wesela. Biografię zamyka wzruszająca anegdota: przez wiele lat Bertha z poświęceniem opiekowała się swoim niedołężnym mężem w małym domku obok rezydencji Kruppów w Blühnbach. Nie ma wzmianki ani o fabrykach koncentracyjnych, ani o robotnikach przymusowych, ani w ogóle o niczym.

Podczas ostatniej kolacji w willi Hügel, kiedy strach minął, Gustav siadł znów spokojnie na krześle i twarze powróciły w mrok. Wychynęły stamtąd jeszcze raz, w roku 1958. Żydzi z Brooklynu zażądali odszkodowań. Po zebraniu z 20 lutego 1933 roku Gustav bez mrugnięcia okiem przekazał nazistom astronomiczne sumy, lecz teraz jego syn, Albert, okazał się mniej

rozrzutny. Choć utrzymywał, że okupanci traktowali Niemców „jak Murzynów", stał się niewiele później jedną z najpotężniejszych osobistości Wspólnego Rynku, królem węgla i stali, filarem pokoju w Europie. Zanim przystał na wypłatę odszkodowań, przeciągał negocjacje przez dwa długie lata. Na każdej rozprawie z udziałem adwokatów *Konzern* regularnie padały antysemickie uwagi. Osiągnięto jednak porozumienie. Krupp zobowiązał się do wypłacenia tysiąca dwustu pięćdziesięciu dolarów każdemu z ocalałych. Jak na odprawę pracowniczą było to dość niewiele, jednak cała prasa entuzjastycznie rozpisywała się o tym geście. Wkrótce, w miarę jak pojawiali się kolejni ocalali, kwota przypadająca na każdego z nich stawała się coraz mizerniejsza. Zmniejszono ją do siedmiuset pięćdziesięciu dolarów, potem do pięciuset. Wreszcie, kiedy z wnioskami wystąpili inni więźniowie obozów, *Konzern* zawiadomił ich, że nie jest już niestety w stanie dokonywać dobrowolnych wypłat: Ż y d z i k o s z t o w a l i z a d u ż o.

Nie wpadamy nigdy dwa razy w tę samą przepaść. Zawsze jednak wpadamy w ten sam sposób, komiczny, a zarazem przerażający. I tak bardzo nie chcemy znowu wpaść, że wierzgamy i krzyczymy w głos. Obcasy łamią nam palce, potężne dzioby wybijają zęby, wydłubują oczy. Przepaść otaczają wysokie zamki. Jest też Historia, roztropna bogini, nieruchomy posąg pośrodku rynku; raz do roku otrzymuje daninę w postaci uschłego bukietu piwonii, a codziennie jako obiatę okruszki dla ptaków.